

# DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XII

Warszawa, dn. 4 marca 1956 r.



CW 9013

Nr 9 (535)

ZYGUNT LICHNIAK

## FILOZOF Z WESOŁEJ

**N**IE strofujcie mnie, że tak nie wypada pisać o zmarłym człowieku. Piszę o człowieku żywym, który nigdy — chociaż przed paroma zaledwie godzinami śmierć go powaliła — nie zgodził się na śmierć. A zresztą: inaczej o Zygumcie Jakimiaku pisać nie potrafię. Nekrolog wydaje się tu wręcz nieprawdopodobieństwem, musi przełamać swą czarnorankową konwencję w możliwie plastyczny obraz wspomnienia...

Na pierwszy rzut oka wyglądał jak niezbyt inteligentny chłopiec zgubiony w rozgwarze wielkiego miasta. Trochę zresztą przekornie, a trochę filozoficznie uzasadniał tę swoją wsiowość, wygłaszając przy lada okazji nieznośnie antyurbanistyczne filipiki lub peany na cześć natury à la Jean Jacques Rousseau. Chodził ciągle w tej samej szeroko skrojonej, samodzielowej marynarce, nosił lniane, podobne do parcianki koszule, buty z cholewami w ziemie, francuskie niemal sandały w lecie, a niezależnie od pór roku, siły słońca i oficjalnej lub nieoficjalnej okazji — zmierzwioną i niezbyt schludnie utrzymaną czuprynę nakrywał tanią, przepoczoną cyklistówką. Chyba nigdy się z nią nie rozstawał. Gdy na jakimś kursie publicystycznym, młodzi jego towarzysze, prawie nago, bo w słupach tylko, chłonili żar nadmorskiej plaży, on — nieprzychylnie lekceważąc nasze salamandrowe rozkosze — kładł się pod jakimś krzaczkiem i nie zdejmując ani lnianej, do worka podobnej koszuli, związując tylko jako walek pod głowę swoją samodzielną marynarkę i — gest nie do pominięcia! — cyklistówką zasłaniając twarz, zasypiał snem spracowanego człowieka.

Wśród przemądrzałych golasów nie jeden z nas podkpiwał sobie wtedy z tego — jak go pewien dowcipniś określał — chłopka roztropka.

A w chłopku roztropku, który mieszkał w podwarszawskiej ni to wiosce, ni osadzie, co zwie się Wesoła — mieszkał filozof. Nie tylko mieszkał. Walczył. Jakże łatwo, jak bardzo łatwo było zlekceważyć tę walkę wyrażającym politowanie ruchem głowy lub dezaprobatą podniesionych w przykrym zdziwieniu brwi czy wydechnych pogardliwie warg. Bo była to walka nie przebiegająca w formach. Nie ma co ukrywać: walka bardzo często ze strony filozofa z Wesołej niesłuszna, choć w Jego przekonaniu bezsporna, konieczna, jedyna. Każdą tezę doprowadzał do ostateczności, żadnej nie uznawał powagi autorytetu. Skłonny był za swój najświętszy obowiązek uważać wspieranie Majdańskiego i atak na Balzaca w imię tej samej sprawy: ochrony człowieka przed grzechem, przed złem, przed utratą Boga. Narażał się na śmieszność. Popadał w śmieszność. Nie bał się śmieszności. Słyszycie, ludzie, żył wśród nas człowiek, który nie bał się śmieszności! Choćby to jedno go cechowało, pomyślcie kto z nas miał tyle pokory? Albo tyle odwagi? A przecież nie tylko to było w nim siłą jego wielkiej indywidualności.

Tak, to bardzo banalne w tej chwili, ale bardzo potrzebne słowo. W morzu nijakości ludzi, w rozlewiskach szarzyzny brodził Zygunt Jakimiak czasami śmiesznie, pokracznie czy w złym kierunku, ale zawsze jako niestrudzony poszukiwacz ostatecznych racji, ostatecznych uogólnień. Był wielką indywidualnością, nie zrezygnował ze swojej indywidualności, niósł ciężar swojej indywidualności, aż do końca.

Ci z nas, którzy w obcowaniu z Zygumtem Jakimiakiem odrzucili po pewnym czasie szczeniacką manierę wesołków, naciągających go na sztubackie psikusy i po sztubacku cieszących się jego — jak przemądrzałym i zadufanym w sobie mogło się wydawać — wpadkami, ci z nas, którzy dostatecznie wczesnie zrozumieli, że ten niby zbłąkany na wielkim dworcu współczesności niby-chłopiec w koszuli-particjancie, ma ambicję zmierzania całego świata swoją myślą i ambicją sprawadzenia całego świata, wszystkich systemów, wszystkich propozycji filozoficznych swym rozumem, ci z nas musieli niejednokrotnie męczyć się nierozwiązywalną właściwie zagadką tej indywidualności.

To, co w tej indywidualności najbardziej fascynowało, co czyniło ją w nieoczekiwany sposób niezwykle bogatą i żywą, a jednocześnie co w niej było czymś męczącym, nie-ludzkim, nawet odpychającym, bo prawie nienormalnym, to ogrom wewnętrznych przeciwieństw — o-czywistych dla obserwatora jako przeciwieństw — przeżytych w



tajemniczy sposób przez Jakimiaka jako harmonia, jako zestrój, jako jedność. Jeśli to zjawisko dałoby się w jakiś odległy sposób powiązać z mądrym prawem o jedności przeciwieństw, trzeba by uznać indywidualność objawianą nam przez filozofa z Wesołej za sam ekstrakt, czy też za perwersyjny chyba wykwit jakiejś psychologicznej dialektyki. Powierzchnowych wesołków bawiła ona i prowokowała do taniach dowcipuszków, przyjaciół Jakimiaka fascynowała, a chwilami obezwładniała przerażeniem. Jak jeden i ten sam człowiek może być w tym samym niemal momencie Scytą i Petroniuszem? Robinsonem i Piętaszkiem? Wielbicielem francuskiego ronda i przeciwnikiem prawie całej poezji współczesnej? A jednak — taki był. Ciągłe zaskakujące sprzecznościami, godzącymi się u niego w jakąś niesamowitą harmonię.

Mogłem z nim — jeśli starczyłoby ci erudycji — godzinami gawędzić o Chestertonie, bo bardzo kochał, znał i rozumiał tego Tuściocha Wielkiego, a jednocześnie musiałeś wysłuchiwać andronów, że Balzac jest kupą łajna. Potrafił ci, jeśli znalazłeś w sobie zainteresowanie dla tych tematów, zrobić półgodzinny wykład o fizyce termojądrowej, a jednocześnie mógł opowiadać o swej walce z fizycznie niemal pojmomowanym diabłem, gdzieś z pogranicza ballady o pani Twardowskiej i czarnych przepaści utworów Bernanosa. Był jednym z najpoważniejszych i dogłębnie zdyscyplinowanych wobec dogmatu katolików, a jednocześnie polemizował często z księżmi w Afryce, gdzie go pchnął młodzieńczy zapal poszukiwacza przygód, kłócąc się z polskimi kacykami tzw. Ligii Morskiej i Kolonialnej — pisał canzonę na cześć... polskiej krowy w Paryżu, gdzie miał studiować... agronomię, niebaczny na pokusy bulwarów i tzw. szampańskiego życia — zagłębiał się w filozofię... ks. Jakubisiaka. W pracy nad (podobno przekornie niedokładnym) tłumaczeniem "Tomizmu" Etienne Gilsona wypoczywał przy przetrząsaniu nawozu w swoim ogródku. A gdy — mając jako tako ustabilizowane życie w Wesołej — rzucił Warszawę, przyjaciół, znane sobie środowisko i z żoną oraz siedmiorgiem dzieci jedzie w dziesiątym roku Polski Ludowej jako nowy osiedleńca gdzieś w głębokie szcze-

cińskie, pisuje stamtąd listy, w których obok opisu tarapatów z oskarżeniami przez niego o niesumienne władzami lokalnymi — zachwyca się szmerem strumyka, płynącego przez podwórce nowej posiadłości. I nie było w tym nic z pozory, nic ze stylizacji na dziwaka. Po prostu: Jakimiak zbudowany z przeciwności.

Potrzebował słuchaczy, którym — wznajmy to ze wstydem — nie zawsze starczało cierpliwości czy też czasu na jego długie, żarliwe, rozkołysane przeciwnościami tyrady. Łapał za guzik, przypierał — dosłownie — do muru, by dać upust swej potrzebie dyskusji, w której imponował kondycją zarówno fizyczną, jak i metafizyczną. Powiedzieć brutalnie: trochę męczył. Ale — komu z nas to się nie zdarza? — męczył myślał, bogactwem myśli, ich natrętną, prowokacyjną niesza-blonowością.

Przechodził do mnie czasami na wielogodzinne raczej monologi niż dyskusje. Przebiegał palcami w czarnej mierzwie zapuszczzonej nagle brody (zapuszczzonej po to, „żeby dzieci miały się czym cieszyć“ — jak powiedział) i snuł swoje niesamowite rozważania. Czasami skoczyło mi — niebacznie na konsekwencje — by przyjąć wobec jego wywodów postawę polemiczną. W małych oczkach zapalał mu się wtedy żywszy płomyk i ze zdwojoną energią, chichocząc od czasu do czasu, walil mnie po szybko tumaniejącej głowie swoimi racjami. Jeszcze dziś nie mogę się oprzeć wrażeniu, że było w tym coś z niedociecznego dla mnie szamaństwa logicznego, jakaś nader elastyczna technika zmieniania pozycji wyjściowych, coś z prestidigitatorstwa intelektualnego. Dość, że coraz częściej się zdarzało, iż musieliśmy rezygnować — przynajmniej ja musiałem rezygnować — z wyników remisowych. Na placu zostawał sam Jakimiak.

Powiedzmy z bolesną szczerością: coraz częściej zostawał sam, coraz bardziej sam. Przed kilku laty drukownicy, wysmiewany, atakowany, lecz ożywiający jakoś cyrkulację myśli, fermentację poglądów —

przez krąg wypadków zepchnięty został na margines, ujęty w nawias prawie zupełnego milczenia. Nie miał się w nas, w naszych możliwościach, nie pasował do naszych procesów krystalizacyjnych. Zaangażowani w trudne dzieło organizowania intelektualnego samych

siebie czy spraw, którym chcemy służyć nie mogliśmy się zdobyć na luksus twórczej dezorganizacji. Skupieni wokół źródeł mądrości umiaru, z wysiłkiem dopracowujący się nielatwej miary rozsądnego zrównoważenia — nie widzieliśmy szans akceptacji dla człowieka szalejącego żarliwie w świecie ekstremów.

Jeśli pobrzmiwa w tych słowach ton usprawiedliwień, to dobrze. Niech pobrzmiwa. Powinien. Zygunt często powtarzał mi w rozmowach ostatniego okresu: „Gromadzę materiały do wielkiego cyklu pod tytułem: Prace odrzucone. Jest tego już spory kufer. Starczy na kilka tomów“. Nachodził nas często w redakcjach. Przesiadywał i w „mojej“ redakcji długie godziny. Złożył w Instytucie dwie książki. Jedna to powieść, osnuta na tle Jego pobytu w Afryce. Wolabym stu młodym, żyjącym pisarzom powiedzieć, że ich rzeczy są funta kłaków warte, niż w tej chwili umarłemu odmówić talentu powieściopisarskiego. Ale nasz zawód jest surowszy niż przyjaźń. Trzeba powiedzieć. To była zła powieść. Nie mogłem Zygumtowi obiecać jej wydania, gdy schorowany już, bielutki jak opłatek, z rozchlestaną czarną brodą pytał: „No i jak? Jeszcze się mnie boicie?“ Nie mogłem mu obiecać tego i teraz. Druga Jego książka to zbiór przekornych esejów pt. „Na dnie banana“. Szczęśliwy był z wyszukania tego tytułu. Bardzo mu się podobał. Wyglądał przy tej okazji chichotliwie filipikę na temat świeżości truizmów. Gdy kartkuję w tej chwili ten rozkrzyżowany sprzecznościami tom, odnajduję w nim Jakimiaka z wielogodzinnych rozmów, Jakimiaka utrwalającego skwapliwie swój sojusz z paradoksem, Jakimiaka zachowanego w Chestertonie, uwielbiającego ks. Jakubisiaka, polemizującego z Akwinatą, piszącego ronda i canzony, zwalczającego diabła, modę noszenia krawatów i kostiumy kąpielowe, Jakimiaka, który nie mieścił się w naszym myśleniu, nie podlegał naszemu zrozumieniu, Jakimiaka, z którego chcieliśmy się wyzwolić, a którego za mało może staraliśmy się przeniknąć.

Ostatni raz widziałem Go w dzień Wigilii roku ubiegłego. Kurczyło się coś we mnie przy tych spotkaniach. Łapał za gardło brzydki pa-

tos śmierci zderającej powoli krępkie, odporne ciało. Ten zylasty, nie tak dawno twardy jak korzeń chłop, kładący nas w zapasach, chodzący świetnie na rękach nawet gdy miał solidnie w czubie, chudł w oczach, zapadał się jakoś w siebie, coraz bardziej żółk, małał niemal, usychał. Gawędziłem w opustoszałym przedświątecznym korytarzu redakcyjnym. Jak zwykle mówił o swoich nowych pracach, o tym, że mu nie chcą drukować polemiki z ks. Kiósakiem, że nie odpisują nawet, a on przecież jeszcze tyle ma do powiedzenia. Z ożywieniem relacjonował ostatnią dyskusję o ewolucji, którą przeprowadzał przed mikrofonem Polskiego Radia z jakimś adwersarzem. Chichotliwie, ale już cichutko zapowiadał, że wywiecie ich do dyskusji o nieśmiertelności duszy. Było w tym wyzwaniu coś z anachronicznej niemal, lecz jakże pięknej wiary w pojedynek intelektualny, walkę racji rozumowych i była ogromna wiara w zwycięstwo.

Gdy żegnaliśmy się składając sobie świąteczne życzenia, z trudem przychodziło mi wykrztuszenie „zdrowia“, Zygunt cichutko, jakby mówił o sprawie całkiem oczywistej, wyraził wątpliwość, czy następnych świąt dożyje. Schodząc powoli po schodach, niesłem w sobie przerażenie Jego spokojem. Jeszcze z pół pietra kiwnęliśmy do siebie dionimi. Stał nade mną skulony z nieopakowanym bochenkiem grahama pod pachą, w swojej przepoczonej cyklistówce, w butach z cholewami, w jakimś wyszarzonym kubraku, z niewesołym uśmiechem uwikłanym w czarnej brodzie.

Pomyślałem wtedy: filozof z Wesołej. Nie było w tym nic z dowcipu. Pomyślałem to tak, jak myślił się: filozof z Aten, filozof z Elei. Wiem, że Wesoła to nie Ateny. Ze różnica kolosalna. I nie o porównanie tu chodzi, lecz o to, kim — mimo wszystkich swych śmieszności, wad i nienormalności — był Zygunt Jakimiak.

...Nie strofujcie mnie, że tak nie wypada pisać o zmarłym człowieku. Piszę o człowieku żywym, który nigdy — chociaż przed paroma zaledwie godzinami śmierć Go powaliła — nie zgodził się na śmierć.

## „Sekret“ czy skandal?

List do Redakcji

Z prawdziwym żalem przystępuję do napisania tego listu, muszę bowiem gorąco zaprotestować nie tyle przeciwko opublikowaniu znakomitej noweli Krzysztoń pt. „Sekret“, ile przeciwko kilku zawartym w niej sformułowaniom gravitującym na pograniczu bluźnierstwa i drwin z rzeczy dla katolika najświętszych.

Jest to wasza wielka wtna, że przygotowując to opowiadanie do druku nie wykreśliłicie, w porozumieniu z młodym i niedoświadczonym autorem, kilku zupełnie niezbędnych zdań, w których imię Boże jednym tchem wymówione zostało z takimi słowami, jakich nie śmiałyby w tym zestawieniu przytaczać. Dowodzi to, że stanowczo zbyt mało liczyliście się ze zdrową reakcją opinii publicznej i z uczuciami religijnymi czytelników.

Zdaję sobie sprawę, że w danym wypadku nie wolno utożsamiać stanowiska pisarza z cynicznymi wypowiedziami jego bohaterów. Poza tym nikt zapewne nie będzie upierał się przy tym, że takich zwrotów się w życiu codziennym nie słyszy

i że to, co napisał Krzysztoń, w zasadzie mija się z prawdą. Istnieją jednak prawdy nie nadające się do publikacji. Istnieje tragiczna dysproporcja pomiędzy zakresem doświadczeń autora a moralnie uzasadnioną potrzebą ich ujawniania. Nie wszystkie nasze doznania, choćby najmocniejsze, mogą i powinny się upowszechnić. Nie każda prawda służy życiu. Po cóż mamy poznać to, co potęguje jedynie beznadziejność i pesymizm? Potrzeba nam takiej wiedzy o rzeczywistości, dzięki której możemy się wewnętrznie rozwijać i wzrastać w łasce u Boga i ludzi. Nie możemy uniknąć przedstawienia zła, ale mamy prawo wiedzieć, w jaki sposób zło może i powinno być przezwyciężone. O ile dany utwór ogranicza się wyłącznie do ukazania tego, co jest prawdziwe w sensie negatywnym, to nie posiada w oczach katolika żadnej wartości moralnej.

Literatura koncentrująca uwagę społeczeństwa tylko na jego upadku, nigdy nie zdoła go wewnętrznie przeobrazić. Będzie go dalej utwierdzała w przekonaniu o najwyższej rzeczywistości zła, stale i zawsze zwy-

ciążającego w porządku doczesnym. A wreszcie dlaczego bohaterowie katolickich powieści i nowel tak rzadko doznają obecności Boga w godzinach próby ogniowej? Czyżby pisarze nie umieli już odtwarzać najgłębszych ludzkich doświadczeń?

Każda wielka sztuka albo zbliża człowieka do Boga, albo stanowi przeszkodę na drodze do osiągnięcia zbawienia. Jeśli przestania nam cel ostateczny nie możemy być uznać za katolicką i własną. W tej dziedzinie obowiązują bardzo rygorystyczne kryteria. Istnieje hierarchia prawd podporządkowana obiektywnej hierarchii wartości. Nie wystarczy, co się wydarzyło, zasługuje na uogólnienie w dziele literackim. Twórczość jest rezultatem wyboru, jej wielkość zależy od uchwycenia jedynie właściwej proporcji pomiędzy dobrem i złem. Tej proporcji Krzysztoń w swym opowiadaniu nie uchwycił, naruszając granice, których pisarzowi katolickiemu przekroczyć nie wolno.

Stanisław Zaremba  
Będzin

Dalszy ciąg dyskusji na str. 6 i 7

Dm159/012



# WYZNANIA WIELKOPOSTNE

**P**OST — według określenia wszystkich nam znanego — jest okresem przygotowawczym do uczestnictwa w Dziale Odkupienia. Prawie każdy z nas przyznał się do pewnego nastroju, który nieodmiennie charakteryzuje czas przedwielkopostny: smutne, prawie ponure, pokutne tygodnie, wydłużające się w nieskończoność; wszystko trwa w niuruchomości, szare jak popielcowy popiół. „Memento homo, quia pulvis es et in pulverem reverteris”.

Dlaczego Kościół przypomina nam o tym w progu Wielkiego Postu? Dlaczego przed dnem zwycięstwa nad śmiercią mamy pochylać głowy w pokorze i żałować przed mocą? Co jest nicością, która nas upokarza? Czy w tym czasie pokory jest tylko gorzka? Z niechęcią przywykliśmy myśleć o pokorze. W potocznym pojęciu wiążemy z nią przekonanie o bezsilności, wygodnej małoduszności, o unizomości. Chyba jednak nie to chcemy wyrazić przez wielkopostną pokorę. Powszechność prawa śmierci wyrównuje wszystkie różnice. Czy więc upokorzeniem moim jest świadomość, że jestem pyłem, że w winach moich zeszedłem jeszcze niżej niż wielu ludzi?

I to przeświadczenie nie obejmuje jeszcze całej treści pojęcia pokory. Pozostaje jeszcze jedno: klękam i pocynam się, bo jestem pyłem i tylko pyłem. Pochyliam się i korzę, bo z pyłu zostałem stworzony i to, co jest we mnie dotykalne, kiedyś zwrócone zostanie ziemi, z której wyszło, bez jakiegokolwiek udziału mojej woli; bo wszystko, czym jestem i co mam, nie jest moją własnością; bo wszystko, co otrzymywałem i dawałem, nie z mojego skarba było czerpane. Korzę się przed wielkością, przed bezmiarem Tego, który wszystko dla mnie czyni. Uniżam się przed Stwórcą, który sprawi, że nie cały rozproszę się w nicości.

Znak popielnego krzyża na moim czole jest aktem zewnętrznym określającym moje położenie w stosunku do Boga. Widzialna forma takiego aktu nie może pozostać bez konsekwencji praktycznej. Wprowadzenie jej w czyn jest o tyle trudne, że pierwsze wnioski są zniechęcające: jeśli jestem tak nędzny, to niczego sam osiągnąć nie potrafię; jeśli jestem tak mały, jakim prawem sięgam po wielkość? Jeśli nic do mnie nie należy, ani nic ode mnie nie zależy, dlaczego raduję się osiągnięciami? Czy wolno mi cieszyć się tym, że zostałem wyróżniony za dobrze wykonywaną pracę? Czy moje własne wysiłki są potrzebne, jeśli sam moimi siłami niczego dokonać nie mogę? Jednocześnie wiem, że nie wolno mi i nie umiem zatrzy-

mać się w dążeniu do tego, co uważam za dobre i piękne. Jest to potrzeba naturalna każdego człowieka. Sprzecznym jest tu pozor: Bóg stwarzając człowieka obdarzył go wieloma dobrami, które nakazał udoskonalać przez pracę; Bóg ukazał nam rzeczy dobre i godne pożądania, które własnym wysiłkiem mamy zdobywać. Bóg zamknął w naszych sercach dobro, którym powinniśmy uszczęśliwiać innych. Człowiekowi nie wolno stać w miejscu, aktywność w osiągnięciu coraz wyższego dobra jest miarą jego wartości. Jest to naturalne i logiczne, jeśli wszystko w ostatecznym rezultacie pozostaje w stosunku pokory wobec Boga; jest wszystko jest podporządkowaniem się Bogu i uszanowaniem dobra przez Niego stworzonego. Najdoskonalszym tworem Bożym jesteśmy my sami, dlatego cnotą pokory mamy obejmować także stosunek do innych ludzi. Tu znowu obudzi się niechęć i nowe wątpliwości, jeśli przyjmujemy potoczny sąd o pokornej postawie wobec swego otoczenia. Sprzeciw wobec tego typu „pokory” jest usprawiedliwiony. Bo czy mam się godzić z tym, że wszystko, co jest we mnie, nie dorównuje innym? Czy wszystko, czego dokonam, mam oceniać niżej niż osiągnięcia innych ludzi? Czy to, co piękne w sercu mego brata, zawsze przesłoni mi własna niedoskonałość i żal nad nią? To nie jest pokora, to unizomość, fałszywy osąd własnej wartości. W każdym człowieku jest cząstka dobra dana przez Boga i ona własnie powinna być otoczona czcią. Dlatego nie ma powodu obniżyć istotnej własnej wartości. Nie potrzebuje mnie zawstyżać pragnienie uznania dla pracy, przez którą rzeczywiście służę dobru, ponieważ wiem, że to, co osiągnąłem, jest tylko drobnym fragmentem, że ja sam jestem małym kółeczkiem w Bożym mechanizmie. To, co jest we mnie nicością, ziemi, upokarza mnie i stawia niżej od innych. Ale zniechęcenie wobec własnych niepowodzeń musi ustąpić przed krzepiącą radością płynącą z piękności i dobra drugiego człowieka. Cnota pokory nie jest teorią, to są sprawy na codzień, nasze klęski i zwycięstwa powszednie.

Akt pokory jest zarazem pokonaniem jej przeciwności — pychy. Wielokrotnie podkreśla to liturgia Wielkiego Postu. Już od pierwszych tygodni powtarzają się teksty biblijne, których tematem jest grzech pierwszych rodziców. Pierwsze i najcięższe wykroczenie stworzenia przeciw swemu Stwórcy było grzechem pychy; uwielbienie własnego „ja” połączone ze świadomym opuszczeniem Boga, z odwróceniem się od Niego i odrzuceniem Jego miłości. Pragnienie wyniesienia siebie ponad wszystko i całkowite niezależnienie mu-

si być konsekwentnie przeciwstawieniem się Bogu. Każdy grzech jest przekroczeniem Bożego prawa, a więc jest opuszczeniem Boga. Ale często popełniamy go jedynie dlatego, aby zadowolić swe pragnienia. Pychą jednak grzeszymy najczęściej, wobec Boga postępujemy tak, jak zachowalibyśmy się w stosunku do człowieka, którego wy-

raźnie i z pełną świadomością chcemy obrazić, co więcej — upokorzyć. Dla wielu z nas katechizmowa definicja pychy jest czymś askakującym. Czy wśród ludzi wierzących jest tak wielu grzeszników, którzy świadomie chcą się ponad Boga wywyższyć? To nieprawdopodobne. A przecież pycha jest jedną z najpowszeźniejszych przy-

czyn naszych upadków. Wkrada się, nie zauważona, przybiera pozory przeciwne, wykorzystuje słabości. Dlaczego np. zajęty jesteś ciągle sobą samym w ten sposób, że nieustannie kontrolujesz formę odnośnienia się do ciebie każdorazowego rozmowy? Dlaczego tak często czujesz się urażony i wciąż odkrywasz, że jesteś pomijany? Boli cię

brak uznania, brak pochwał, na które przecież niczym nie zasłużyłeś. Dlaczego pozytywną ocenę swojej wartości ukrywasz pod pozorem kompleksu niższości? Z jakim smutkiem przyjmujesz wartość, powodzenie, nawet wesole usposobienie innych. Z pewnością nieraz korytały cię słodko pochwały nie tobie należne. Przekreśliłeś wieloletnią przyjaźń, gdy przyjaciel wytknął ci zakłamanie. A kiedyś zdarzyło się, że dla człowieka, który — jak sądziłeś — był ci bliski, uczyniłeś wielką ofiarę ze swojej ambicji. Zanim się na to zdecydowałeś, przeżyłeś wiele drobnych, lecz jakże trudnych zwycięstw nad sobą. I kiedy już wszystko minęło, opanowała Cię nędzna duma, że nikt inny... że twój przyjaciel nigdy by tak wysoko nie doszedł, jak ty się wspiąłeś; i jeszcze — marne zadowolenie, że nie tylko on zna wielkość twojej ofiary, że są inni jej świadkowie. Coż się więc stało z ofiarą? Teraz już na pewno wiesz, że pycha wielokrotnie przesłoniła ci obraz Boga, Kościół, pamiętając o różnych jej postaciach, uważa ją za wadę nadrzędną, zaczątek wielu innych. Dlatego, zanim wolno nam będzie radować się szczęściem Odkupienia, musimy zagłębić się w rozważaniu przyczyny, przez którą Syn Boży złożył za nas dobrowolną Ofiarę. Zanim nadejdzie dzień Zmartwychwstania, uwolnijmy serca od pychy przez poddanie ich pokorze. Uczmy się tej cnoty nie tylko od jej strony negatywnej. Może dotąd uważaliśmy ją za tak trudną, ponieważ była tylko żalosnym przyznaniem, że jesteśmy pyłkiem najnędźniejszym z nędźnych. Spróbujmy teraz wzbogacić to spojrzenie przez skierowanie go nie tylko ku nam samym, ale ku wszelkiemu stworzeniu. Wszystko jest dziełem Stwórcy, a jako takie, godne jest uwielbienia. Uczulenie na wszelkie dobro od Boga pochodzące i hołd złożony Bogu za nie jest również formą pokory, przez którą dajemy dowód swej całkowitej zależności od Stwórcy. To odwrócenie uwagi od siebie i skierowanie jej na działanie Boże w nas i zewnątrz nas jest charakterystyczne dla pokory pojętej od strony pozytywnej. Jej symbolem jest zielona gałązka Niedzieli Palmowej, która przypomina nam triumf chwwały Syna Bożego. W dniu Środy Popielcowej spalona gałązka zamienia się w pasemko popiołu — znak ofiary z naszej pychy.



Otto Dix — Ecce Homo

**D**OWIEDZIAŁEM się właśnie o otwarciu w Lublinie Uniwersytetu dla Rodziców. Pobiegłem z tą wiadomością do Sądu. Nie wywołała jakoś nadmiernego entuzjazmu u kuratorów i prawników.

— Uniwersytet? Wielkie słowo. Tylko co on ma nam dać? Wykłady? Skrypty?

Oczywiście że mało jeszcze wiemy o tej nowej uczelni. Nie znamy szczegółów planu jej pracy. Wydaje się jednak, że teren czeka raczej na Instytut Badawczy. Taki, który by zbierał dane, przeprowadzał doświadczenia, dostarczał wskazówek, skryptów dla kuratorów i rodziców. Byłaby to instytucja niezwykle pożyteczna i cenna.

Poradnie pedagogiczne dla rodziców otwierane tu i ówdzie spotyka się z serdecznym przyjęciem. Są już i pierwsze uwagi. Oto te, które wydają mi się warte zasygnalizowania.

Poradnia powinna nastawić się na trojaki zakres pracy. Dla każdego rodzaju interesantów powinny być wyznaczone inne dni przyjęć. Przede wszystkim profilaktyka. Najwięcej rodziców szukających porad przychodzi z małymi, ale jakże groźnymi w następstwach ich nieleczenia — objawami zła. Skarżą się na skłonności do kłamstwa, na skrytość, na upór swoich dzieci. Powinni otrzymać na miejscu pierwsze porady pedagoga wraz z podaniem lektury lub nawet szkół specjalnych dla dzieci trudnych.

Drugi rodzaj petentów przychodzi już w sprawach leczenia zła. Na skutek zauważonych przez rodziców, a często nieznanymi ani MO, ani szkole wypadków kradzieży, skłonności erotycznych, chuligaństwa czy sadyzmu.

Wreszcie — reedukacja. Do poradni zgłaszają się rodzice i sama młodzież wracająca z domów poprawczych, z zakładów wychowawczych i po odbyciu kar. Kurator winien mieć w swej dyspozycji wykaz szkół zawodowych i technicznych, utrzymywanych w kontakcie z wielkimi zakładami pracy i wydziałem opiekuńczym Sądu a przez Sąd z władzami terenowymi.

Tylko takie poradnie, które będą w stanie zaoferować rodzicom i młodzieży realną pomoc i radę, a nie tylko obietnice i slogan wychowawczy — mają rację bytu.

Musię, że nie należy organizować Poradni ani w lokalach Sądu, ani w szkołach. Rodzice, jeśli nawet rozumieją, że właśnie w Sądzie czeka przyjaciel, fachowiec i wychowawca — mają rację bytu.

wawca, na ogół niechętnie idą do sędziego i nauczyciela z żalami na trudności w wychowywaniu dzieci. Przez fałszywie pojmowany wysiłek w obawie „psucia dziecku opinii”, 40 procent dzieci stojących przed Sądem zdradza albo opóźnienie w rozwoju, albo ma cechy patologiczne. Stąd wniosek: jak najwięcej poradni pedagogicznych przy takich okolicznościach, które mogą przeprowadzać badania psychologiczne.

**N**IE pomogą jednak poradnie i akcje uświadamiające, jeśli w ciągu najbliższych lat nie zwiększy się ilości szkół specjalnych i zakładów wychowawczych. Oseparowanie dzieci zdrowych od opóźnionych w rozwoju i od takich, które mają już poza sobą wyroki Sądu i „szkolę zła” pobraną w doniach poprawczych, jest sprawą niezwykle pilną. Niestety, w najbliższej pięcioletniej nie słyszy się o planie zwiększenia ilości takich szkół. O ile z budową zamkniętych zakładów nauczania przeznaczonych dla dzieci trudnych są poważne trudności, to jednak nie wiem czemu brakuje otwartych szkół, różniących się od normalnych tylko specjalnie dobranym zespołem nauczycielskim.

Ani poradnie pedagogiczne, ani wydziały oświaty, ani nawet Sąd — mimo zgodności co do tego rodzaju zarządzeń — nie są w stanie przeprowadzić koniecznej izolacji dzieci szersząch demoralizację w swoich szkołach.

Wiąże się z tym naturalnie sprawa kadr nauczycieli i wychowawców. Nie tylko sprawy bytowe — (pozbawienie dodatku specjalnego nauczycieli w zakładach wychowawczych) są powodem „przelotności” kadry, dużej ilości personelu niefachowego. Wydaje się, że naurdziej zniechęca trudność pracy z młodzieżą zdeprawowaną, krambrną. W dobrze przecież prowadzonym Państ. Młodzieżowym Zakładzie Wychowawczym we Wrocławiu w ciągu dwóch lat przewinęło się aż 42 nauczycieli i wychowawców, a ostatnio 4 złożyło wypowiedzenia. W Sobótce 50 proc. wychowawców nie posiada matur. W jednym z domów poprawczych zwolniono nauczyciela za to, że razem z wychowankami skradł bramę (dla potrzeb swego zakładu).

Należy jak najszybciej wprowadzić w szkołach wyższych i liceach pedagogicznych specjalizację, zachęcając młodzież najbardziej wartościową do obojętnej zawodu wychowawcy w szkołach specjalnych. Pó-

ki nie wyjdą z uczelni pierwsi absolwenci, należy zorganizować dla młodych nauczycieli kilkumiesięczne kursy specjalizacyjne zapewniające dobre warunki pracy i płacy.

**S**ZKOLEY specjalne dają wychowankom prócz siedmiu klas szkoły podstawowej początki wiedzy technicznej. Stąd zainteresowanie młodzieży opuszczającej zakłady wychowawcze dla szkół Centralnego Urzędu Szkolenia Zawodowego. Natrafiam na rozporządzenie — dziwnie bardzo poważny w konsekwencjach. Zarządzenie to nakłada na kierowników zakładów wychowawczych obowiązek poręczania finansowego przy zgłaszaniu wychowanków zakładu do szkół CUSZ-u (Chodzi tu o zwrot kilku tysięcy złotych w wypadku nie ukończenia przez ucznia nauki zawodowej). Zachodzi pytanie: Z jakich funduszy? Czyba nie „wygospodarowanych” na jedzenie wychowanków?

Trzeba postawić zagadnienie tak, jak ono wygląda: Szkoły CUSZ należy traktować jako dalszy etap reedukacji młodzieży trudnej. Takiej, która opuszcza zakłady wychowawcze z realną nadzieją na powrót do normalnego, zdrowego społeczeństwa. W dwóch tylko zakładach — „Caritasu” i na ul. Akacjowej podano mi ponad dwadzieścia nazwisk udowadniających, że CUSZ-owi także ustępują swej opłaci. Młodzi ludzie stali się bowiem wartościowymi metalowcami, górnikami, włókniarzami, co jest przecież rezultatem wspólnego wysiłku szkół specjalnych i CUSZ-owskich.

Zarządzenie-dziwolak należy przekreślić. W przeciwnym razie kierownicy PMZW nadal będą niechętnie kierowali swych, zawsze przeciętnie niepewnych, wychowanków na te drogi powrotu do społeczeństwa. Odesła młodego człowieka bądź to rodzinom, (w 70 procentach uznano przez sąd i kuratorów za środowiska nieodpowiednie dla karanej młodzieży), albo zaryzykują powierzenie dalszych jej losów wydziałom zatrudnienia.

Kończy się to podobnie: Przy stółkach przydworcowych lokalików lub w komisariacie MO. Recydywy. (Statystyki kuratorskie podają, że wśród sadzonych w ostatnim roku nieletnich 60 procent to recydywiści. Zagadnienie recydywy jest tematem specjalnych badań, tym ciekawych, że przy zatrzymaniu sążek chuligańskich oburzmy procent współwinnych, przeważnie już karanych — pozostaje nieuchwytny).

Szkoły zawodowe czy normalne uczelnie (mam wypadki ukończenia przez chłopców z domów poprawczych Uniwersytetu i Politechniki) to tylko części sposobów zapewnienia młodemu człowiekowi ponownego startu życiowego. Ważniejszym zagadnieniem jest zagwarantowanie „trudnej młodzieży” pracy w wybranym i dobrze płatnym zawodzie. Trzeba, mając na względzie sprawę reedukacji społecznej, dawać pierwszeństwo w przyjmowaniu do pracy młodzieży z zakładów wychowawczych.

Bez planowej, opartej o odpowiedzialne zarządzenie władz, współpracy wydziałów personalnych wielkich zakładów pracy z wydziałem opiekuńczym, poradnią dla rodziców i kuratorami — nie rozwiąże się problemu likwidacji przestępczości wśród nieletnich.

Myślę, że warto zainteresować się trochę sprawą odczytywania kartotek pracowniczych przez wydziały personalne. Wciąż jest zbyt dużo wręcz katastrofalnych w skutkach nieporozumień. Oto dwa przykłady różnie odczytanych opinii: w dużej fabryce wrocławskiej zwolniono z pracy dziewczynę czterokrotnie nagradzaną (w pracy i za akcję kolportażu książki) z chwałą, kiedy „nowy personalny” przeczytał w jej ankiecie fakt odbyty przed trzema laty kary domu poprawczej. Tylko przypadek, a potem zbiorowa interwencja koleżanek w redakcji lokalnej gazety zapobiegła przekreśleniu wysiłku kobiety wyrywającej się ze środowiska przywroczego półświatka. I odwrotnie. Personalny dużej drukarni po znalezieniu w ankiecie praktykanta adnotacji o skazaniu go przez sąd, zaczął toczyć istne boje z załogą sprzeciwiającą się trzymaniu w zakładzie „ulicznika”.

Obaj mieli tę samą prośbę: domagali się jakiegos autoritatywnego i znanego ogółowi obywateli zarządzenia regulującego stosunkowanie się dyrekcji do młodocianych pracowników z przeszłością.

**N**IE udośćpniłono mi projektu wrocławskiej uchwały o zwalczaniu przestępczości wśród nieletnich. O szczegółach wiem niewiele ponad to, że „siatka mobilizacyjna” projektodawców przewiduje dla trzystupięcioletniego miasta około 7.000 obywateli, których należałoby wciągnąć do skoordynowanej, opartej na dyscyplinie obywatelskiej współpracy z sądem. Zasadą jest ustanowienie kuratora w każdej szkole, w

każdym większym zakładzie pracy, przy komitetach dzielnicowych, w hotelach i domach robotniczych i — dodam od siebie — koniecznie w klubach sportowych.

Trzeba wspomnieć o nteocenionych możliwościach, jakie dla sprawy reedukacji młodzieży mieć może wspóludział duchowieństwa w tej akcji, księży posiadających bezpośredni kontakt z masami wiernych. Współpraca Sądu z Komisją Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy FN — jeśli ma przynieść pełne korzyści — musi mieć charakter stały i planowy.

Kilku tysięcy — a podkreślam to z naciskiem — tysięcy ludzi o odpowiednich kwalifikacjach i orientujących się w problematyce wychowawczej nie pozyska się do pracy ani za pomocą obwieśczeń rozlepanych na miejskich murach, ani na szablonowych masówkach.

Zebrań zapoznawczych widzę w reprezentacyjnych i popularnych salach miasta, przy pełnym współudziale aktorów, literatów i dziennikarzy. To stworzyłoby jak najpozytywniejsze warunki startu dla uchwały, której treść powinna być poszerzona przez żywiołową dyskusję przy udziale rodziców i samej młodzieży.

Jedynie fragmenty najistotniejszych postanowień obrad należałoby przekazywać społeczeństwu przy pomocy słuchowisk radiowych, specjalnie nakręconego filmu dokumentalnego, atrakcyjnie napisanej broszury. Przenosić do środowisk młodzieżowych w formie artykułów i wieczorów prowadzonych przez najbardziej zdolniejszych kuratorów i publicystów.)

Poznałem uczniów ze szkół II TPD, z ulicy Swistackiego, z ulicy Stalina, którzy samorzutnie podjęli się opieki nad kolegami mającymi poza sobą wyroki. Była to opieka bardzo serdeczna i bardzo efektywna, a co ważniejsze nie spowodowała ani nakazem profesora, ani uchwałą ZMP. Na przedmieściu Krzyży poza służbą znajduje czas na to, by kontrolować obecność na lekcjach zamieszujących jego rejon uczniów-chuliganów. W domkach o złej sławie przy ulicy Parkowej napotkaliśmy żonę profesora, p. K., gdy dopomagała w odrabianiu lekcji dwóm kolegom szkolnym syna — „trudnym chłopcom” znanym milicji jako złodzieje. Znam mgr F., nieustającego agitatora moralności, odważnie brnącego między żużli, w których gości wódka, występki,

gruźlica. Jest taki trener w „Górniku”, który obchodzi walbrzyskie lokaliki, by wyciągać z nich swoich wychowanków, dzielących dzień na godziny spędzane w kopalni i na piątkie popołudnia. (Józek Z., lat 17, 3.600 zarobku, lecnący już na chorobie weneryczną przestał pić i jest kandydatem do reprezentacji). A masowa akcja protestacyjna społeczeństwa mającego dość przestępczości wśród młodzieży? Matki dzieci uczęszczających do szkół nr 11, które runęły jak burza na mieszkanki kobiet nie interesujących się wycieczkami swych synów, doprowadzając je siłą na spotkanie z kuratorem.

O tej walce społeczeństwa, toczony dotychczas po partyzancko, a niejednokrotnie bez wiedzy i poparcia władz czy kuratorów, trudno nie powiedzieć, że przebiega na szerokim froncie społecznym.

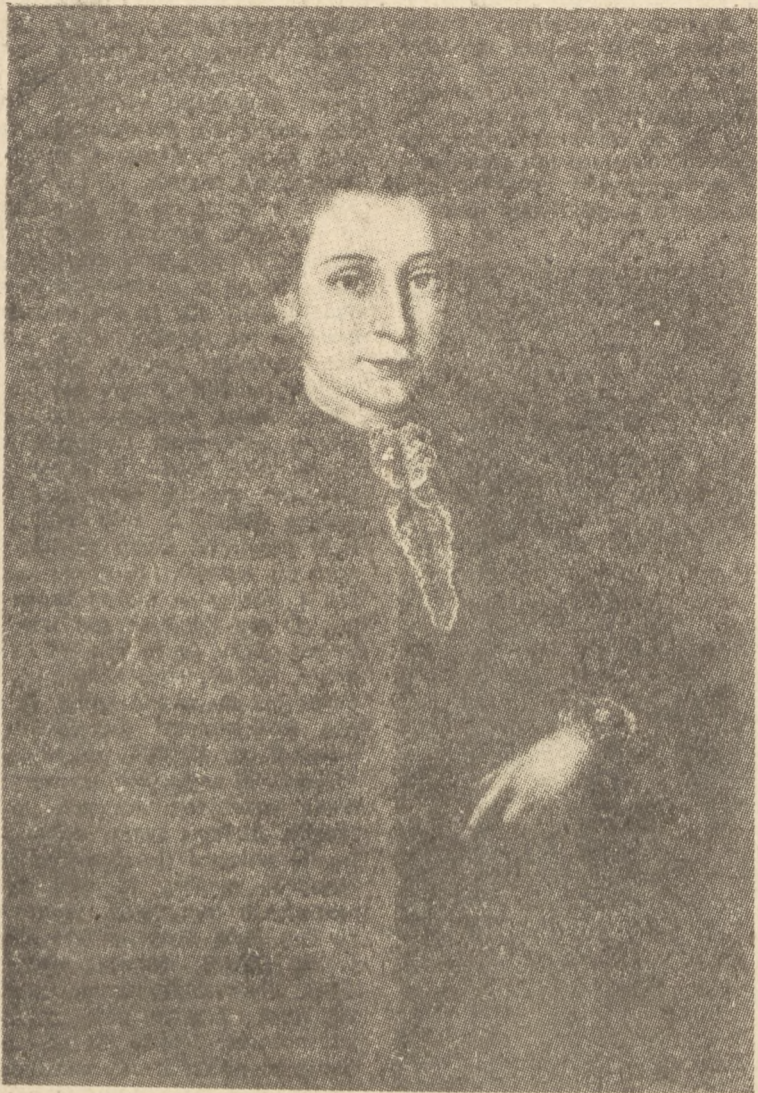
Twórcom uchwały wrocławskiej należałoby zatem życzyć tylko tego, by udalo się im nadać tym wszystkim poczynaniom skoordynowany i jak najbardziej planowy przebieg. Wtedy dla dzieci wrocławskiej nocy na pewno przybliży się świt.

1. „Dziś i Jutro” nr 45/55. „Kiedy świt graniczy z nocą”, „Dziś i Jutro” nr 48/55. „Kiedy dzień zaczyna się o zmierzchu”. „Dziś i Jutro” nr 3/56. „Kiedy w noc „złodziej-gentelmanów” wchodził Obywatel i Kurator”.
2. Dane o przestępczości nieletnich z terenu Warszawy z art. „Grupy nieletnich przestępców” A. Pawelczyskiej. „Nowe Prawo” 117.
3. „O poprawie pracy harcerskiej” W. Dewit. „Nowe Drogi” nr 2/55.
4. Domagając się kontaktu sądu z prasą nie myślę o jakiejś rubryce „Kronika sądowa i milicyjna”. Nie o to mi chodzi. Wolam o stały, pisany przez odpowiedzialnych dziennikarzy felieton problemowy. O długofalową akcję w codziennych pismach lokalnych. Nie o publicystykę sensacji, a o publicystykę pomoc prasy dla sędziów i kuratorów.

\*  
P. S. Wszystkim, którzy mi pomogli w zebraniu materiału do cyklu reportażu o przestępczości nieletnich, a głównie pp. kuratorce Barbarze Geniusz, prezesowi Sądu mgr. Ujmanowi, sędzjom B. Czarkowskiej i N. Rodstejnowej, mec. I. Madayskiej, składam serdeczne podziękowanie.

Cz. Ost.

# MOZARTOWSKIE KORONKI



Mozart około roku 1773  
(Portret olejny nieznanego malarza)

**W**YOBRAŹNI ludzi ma-  
to muzykalnych muzy-  
cy zają legendą. Tka-  
ka anegdot zastępuje  
tkankę muzyczną. Mu-  
zyka jest w tej sytuacji  
szafka z obrazkami — w zależności  
od okazji wyciąga się szufladki,  
porównuje, dopasowuje.

Schubert staje się fotomontażem  
wizji wiatru jesiennego, roman-  
tycznych młynarek, cikliwych, zapła-  
kanych poetów, a na pierwszym  
planie stoi dość tęgawy młody pan  
w czarnym surducie i okularach  
przesłaniających pełne dobroci i  
rozmarzenia oczy. A tu pech chce,  
że wyskakuje taka Wielka Symfonia  
C-dur — i cała wizja bierze  
w łeb. Nie ma wiatru jesiennego,  
tylko szeroki oddech świętej mu-  
zyki; nie ma rozhisteryzowanych  
młynarek i poetów — tylko pełna  
skupienia i powagi prostota; nie ma  
dobrotliwych, rozmarzonych oczu —  
jest tylko pasja i zaskakująca u te-  
go pozornego cherlaka siła wielkiego  
głosu. A Beethoven — ileż to  
książek o nim napisano. Tyle, że  
przesłonił dia wielu ludzi jego mu-  
zykę ścianą literackiej wizji i ko-  
mentarzy. W każdej nutce dopatry-  
wano się konkretnej treści. Nie słuchano  
muzyki, tylko słuchano tra-  
gedii. Przegadano Beethovena. A  
wszystko temu sprzyjało: przeczel  
nawet scenariusz śmierci tego gro-  
znego — chmurnego tytana była bu-  
zna, niezwykła o tej porze roku. A  
ileż bzdur wypisano jako komen-  
taryz do jego symfonii. Czegoż tam

nie ma! Jak świetnie igać potrafił  
i jak pełni fantazji są posłodzi kry-  
tycy.

Mozart ma z kolei dwa oblicza  
odpowiadające dwóm okresom je-  
go życia. Pierwsze — to wdzięczne,  
pełne uroku dziecko wygrywane  
rokokowe frazy w arystokratycznych  
salonach. Drugie — to zapo-  
mniany, opuszczony, tragiczny czo-  
wiek, umierający na uremie i po-  
chowany we wspólnym grobie. Oba  
oblicza są zgodne z prawdą. Nie po-  
winny tylko przesłaniać tego, co  
jest najważniejsze — muzyki Mo-  
zarta. Bo twórczość nie zawsze jest  
bezpośrednim wyrazem życia arty-  
sty. Często jest dopowiedzeniem,  
uzupełnieniem a niekiedy zapre-  
zeniem tego życia. Im bogatszy  
jest twórca, tym na większą ilość  
sposobów pozwala się komentować,  
tym bardziej jest wieloznaczny.  
Huxley pisał, że „rozprawiając o  
Prouście można wszystko powie-  
dzić — wszystko i to zawsze na  
płaszczyźnie krytyki ściśle literac-  
kiej”. Te słowa mogą odnieść się  
do Mozarta.

Każda epoka stwarza swój własny  
obraz wielkiego twórcy. Dziś  
inaczej patrzymy na Rafaela czy  
Rembrandta niż sto lat temu. Dziś  
inaczej patrzymy na Bacha czy  
Vivaldiego. Inaczej na Mozarta.  
Obowiązkiem epoki jest odnaleźć,  
odkryć bieżącą aktualność twórcy.  
Obowiązkiem jest skomentować je-  
go twórczość na swój, współczesny  
sposób. Przypuszczam, że gdyby  
Bach słyszał w jaki sposób wyko-

nuje się dzisiaj jego utwory bar-  
dzo by się przestraszył, a może  
zgorszył. Beethoven mógłby być  
przerazony słuchając swoich sym-  
fonii w interpretacji Toscaniniego.  
Mozart byłby może trochę zdziwo-  
ny słysząc „Don Giovanniego” w  
wykonaniu zespołu Fritza Buscha.  
Do niedawna muzykę Mozarta in-  
terpretowano jak muzykę rozkapry-  
szowanego dziecka. Odtwórcy zasuge-  
rowani rokokową perlistością Mo-  
zarta grali jego utwory z przesła-  
ną delikatnością, która przerażała  
się w anemii. Z silnych rąk Mo-  
zarta pozostały tylko koronki  
XVIII-wiecznego fraka. Zrobiono z  
Mozarta niemal mglistego romantyka.

Ogólną cechą nowoczesnego, obec-  
nego wykonawstwa jest próba świe-  
żego i trzeźwego spojrzenia na par-  
tyturę. Naszej epoce bliższy jest po-  
przez swoją prostotę klasycyzm,  
niż pełen niedopowiedzeń i roz-  
wlekłości romantyzm. Przeciwnie  
wysoki — w wielkich ośrodkach  
muzycznych — poziom techniczny  
wykonawców i solistów pozwala na  
osiągnięcie precyzji, która być mu-  
że dawniej była w takiej skali nie  
do pomyślenia. To zwrócenie uwagi  
na rzemiosło — cechujące w ogóle  
nowoczesną muzykę — odbiło się  
w bezpośredni sposób na interpre-  
tacji klasyków. Idealnym wciele-  
niem idei współczesnego wykonaw-  
stwa orkiestrowego jest Toscanini.  
W jego nagraniach zawarte są te  
elementy, które słuchacz uznał za  
podstawowe dla dzisiejszego sposo-  
bu odczytywania klasycznej muzyki  
— dyscyplina, klarowność, pre-  
cyzja i pewna drapieżność — któ-  
rej nauczyła nas współczesna mu-  
zyka.

**W**MUZYCE Mozarta brak jest  
wylewności, która tak dra-  
żnić potrafi niekiedy u Beetho-  
vena. Mimo, że jego twórczość jest  
etapem na drodze do spętowania  
wyrzutu muzycznego, ekspresji  
muzycznej — Mozart za silnie tkwi  
w dyscyplinie XVIII wieku. Jego  
mistrzem obok Haydna był Jan  
Christian Bach — najmłodszy syn  
Jana Sebastiana i to nie odbiło się  
bez wpływu na całą twórczość.  
Nawet w trzech ostatnich, najczę-  
ściej grywanych symfoniach, w  
których dochodzi do głosu pierwia-  
stek dramatyczny, częsty zresztą w  
późniejszych kompozycjach Mo-  
zarta — ekspresja jest opanowana,  
zrównoważona i nigdy nie przechodzi  
w histerię tak bliską Beetho-  
wenowi. Symfonia g-moll, którą  
zwykle interpretuje się w tragicz-  
ny, smętnie zadumany sposób —  
posiada z pewnością w pierwszej  
części pewien nastrój rezygnacji —  
ale nie ma tam nigdzie leż, które  
często spływają po polskich estrad-  
dach.

Mozart posiadał umiejętność de-  
stylowania swego uczucia w formę  
obiektywną, wolną od jakichkoi-  
wiek poza-muzycznych naleciałości.  
Nie obnosi się ze swoim bólem i  
smutkiem, nie ryczy i zlorzezy jak  
Beethoven. Mozart jest dyskretny  
a czasem skryty, daleki od jakiego-  
kolwiek ekshibicjonizmu. Posiada  
jeszcze jedną cechę, która odróżnia  
go od większości kompozytorów  
germańskich — nie jest sentymen-  
talny. W ogóle Mozart bliższy jest

kulturze romańskiej, bliższy Wło-  
chom i Francji niż rodzimej  
Austrii. Nie jest przypadkiem, że  
dwie najlepsze opery Mozarta, któ-  
re obok „Cyrulika” Rossiniego na-  
leżą do trzech chyba najświetniej-  
szych oper w literaturze światowej  
— „Wesele Figara” i „Don Gio-  
vanni” — komponowane są do li-  
bretta włoskiego.

Romański jest wdzięk całej mu-  
zyki Mozarta. Ten wdzięk nie jest  
jednak płochością, którą niekiedy  
chcą narzucić wykonawcy. Właści-  
wym określeniem jest urok, urok  
bynajmniej nie zawsze pogodny.  
Wypływa on może z poczucia wła-  
snego talentu, niezwykłej i feno-  
menalnej łatwości komponowania,  
z bezpośredniej radości jaką dawa-  
ła Mozartowi twórczość. Nie ma nic  
na siłę robionego w jego muzyce  
— może ten urok jest urokiem be-  
pośredniości. Muzyka Mozarta jest  
najbardziej naturalna. Wynika z  
potrzeby tak oczywistej i prostej  
jak oddychanie. Ten oddech mozar-  
towski zawsze swobodny, nie przy-  
spieszony — jest oddechem czo-  
lowika, który posiada wrodzone za-  
ufanie do ludzi, człowieka, który  
od szóstego roku życia jest dawcą  
piękna i z racji swojej wyjątkowej  
pozycji w społeczeństwie skupia ca-  
łe swoje zainteresowanie na wła-  
snej twórczości. Trudno zrobić z  
Mozarta rewolucjonistę. Mozart  
jest raczej pierwszym w historii  
muzyki indywidualistą, świadomym  
swych praw i buntującym się prze-  
ciwko ich ograniczaniu.

Nie będę pisał o tym, że mu-  
zyka Mozarta jest humanistyczna,  
bo to jest frazes i banal. Każda  
wielka muzyka jest humanistyczna.  
Mozart jest bardzo ludzki, posiada  
wielki ładunek ciepła, głębokiej żar-  
liwości. Siła Mozarta tkwi w jego  
pewności — w wewnętrzny prze-  
konaniu o własności własnej drogi.  
Jest to siła, bez krzyku — bez cie-  
nia brutalności. To raczej jakaś  
stanowczość, która dochodzi u Mo-  
zarta do głosu. To ten gatunek si-  
ły, stabilizacji muzycznej, który  
tak dobrze reprezentuje muzyka  
włoskiej preklasycyzmu, wzbogacony  
przez bardziej północną wrażliwość,  
wycieniony i wysubtelniony  
przez artystę dalekiego od włoskiej  
bezkompromisowości.

Spiewność Mozarta, to też ele-  
ment bliski sztuce południa. Ta  
spiewność jest chwilami urzekają-  
ca. Niektóre środkowe części kon-  
certów skrzypcowych są najlepszym  
przykładem na ten niezwykły dar  
Mozarta. Trudno znaleźć w mu-  
zyce inny podobny przykład. Trud-  
no znaleźć też przykład podobnej  
inwencji. Mozart jest bezsprzecznie  
największym geniuszem muzyki —  
geniuszem w najbardziej szerokim  
pojęciu, łączącym łatwość, płod-  
ność, odkrywczość — i przede  
wszystkim przedziwnie wczesny  
rozkwit talentu. Partytury ostatnich  
sonat Beethovena pisane są nie-  
mal bez odrywania ręki; nuty ma-  
ją pochylenie i charakter zwyk-  
łego odrędnego pisma. Beethoven  
nie zawsze jednak był tak bezpo-  
średni. Tę łatwość, która u niego  
przychodziła dość rzadko, Mozart

posiadał zawsze. Czasem nie tru-  
dził się pisaniem dokładnej party-  
tury, rzucił tematy, określił ogólną  
linię melodyczną — przekazy-  
wał pomysły w formie najczystszej,  
w formie łaskotająco naturalnej.

**T**O co nasza epoka odkrywa w  
Mozarcie jest muzyką zupeł-  
nie odrębną od tej, której do-  
patrywał się wiek XIX. Dla nas  
Mozart przestał być przedstawicie-  
lem stylu „galant”, przedstawicie-  
lem rozdeganego i trochę zmanie-  
rowanego smakoszwostwa. Pod tą  
powierzchnową ozdonością Mozar-  
ta, tą rokokową szminką leżą po-  
kłady muzyki — mocnej, konkret-  
nej i pełnej niepowtarzalnego pię-  
kna. Odkrywamy dziś prostotę Mo-  
zarta, jego dowcip, klarowność i  
rozśadek. Odkrywamy jego wiel-  
kość nie przygniecioną przesadnie  
akcentowanymi akcesoriami epoki.  
Odkrywamy Mozarta pozbawionego  
pompy, pełnego bardzo szlachetne-  
go i bardzo skromnego patosu.

Brak zarozumiałości Mozarta jest  
jego cechą typową. Romantyzm z  
Beethovenem jako pierwszym wy-  
bitnym twórcą potrzebował wiel-  
kich gestów i wielkiej pozy. Nie  
schodziło się z drogi cesarzom i  
dario że wściekłości partytury. Mo-  
zart należy jeszcze do epoki ludzi  
rozsądnych, do XVIII wieku. Nie  
potrzebował wzmawiać w siebie  
wielkości i przygniatać innych ge-  
niuszem. Zbyt dobrze świadomy był  
swojego talentu, żeby potrzebował  
się o nim stałe upewniać. Mozart  
jest przełomowym punktem w hi-  
storii między epoką majstrów, spe-  
cjalistów od muzykowania, świe-  
tych rzemieślników, których dziś  
nazwać musimy wielkimi widząc,  
np. w wypadku Vivaldiego jak  
ogromnie odkrywca i bliska nam  
jest ich muzyka — a epoką arty-  
stów-muzyków, celebrujących z na-  
maszczeniem sztukę. Można powie-  
dzić, że Mozart jest pierwszym  
współczesnym kompozytorem.

Mozart potrafi sublimować w  
muzyce uczucia w sposób bliski  
świeżej jeszcze tradycji preklasycy-  
zmu. Filtrem, przez który prze-  
puszcza emocje jest inteligencja.  
Ona sprawia, że Mozart potrafi  
osiągnąć tę idealną — być może —  
równowagę między uczuciem a in-  
telektem. To jest największa lek-  
cja Mozarta dla współczesności.  
Mozart jest pochwałą twórczości  
wypływającej z głębokiej inspi-  
racji — ale twórczości świadomej.  
Twórczości zdolnej wzruszać — ale  
utrzymującej te wzruszenia w ry-  
zach rozsądku i dobrego smaku.  
Twórczości indywidualnej, tak jak  
indywidualny jest każdy mozar-  
towski temat — ale szanującej o-  
biektywnie, formalne prawa sztuki.  
Twórczości żarliwej — ale unika-  
jącej wszelkiej przesadnej eks-  
presji i sztucznego patosu.

Mozart jest pochwałą intelligen-  
cji.

Najbardziej dramatycznym i  
przejmującym utworem Mozarta  
jest Requiem. Już same dość tajem-  
nicze okoliczności jego powstania  
i fakt, że zostało skomponowane na  
krótko przed śmiercią — skompo-  
nowane faktycznie na własny po-  
grzeb — stwarzają wokół tego ar-  
cydzieła atmosferę nie pozbawioną  
pewnego tragicznego romantyzmu.  
W muzyce żadnej ze swoich wcze-  
niejszych Mszy nie osiągnął Mozart  
takiej głębi i powagi wyrazu. Jest  
tu dziwny — niezmiernie prawie spo-  
kój, muzyka Requiem jest pełna  
godności, pełna niekiedy szlachetnej  
rezygnacji. Piękne, potężne, ale po-  
zbawione cech brutalności chóry,  
brak efekciarstwa — stwarzają w  
tym utworze niezwykle sugestywny  
i niepowtarzalny nastrój. Ta mu-  
zyka nie ma nikogo czarować czy  
ośniewać. Wypływa z tak inten-  
sywnego przeżycia, można by po-  
wiedzieć, że mimo swojej potęgi  
jest tak mało oficjalna, tak prywat-  
na — że środkami którymi operuje  
Mozart wydają się obnażona, kry-  
stalicznie czystą mową muzyczną,  
myśleniem muzycznym pozbawio-  
nym koturnów, sztuką, która docho-  
dzi do granic tego, co człowiek może  
w ogóle wypowiedzieć, dać z siebie  
innym ludziom. Siła wyrazu Re-  
quiem, jego głęboki tragizm wy-  
datniają się — paradoksalnie — po-  
przez powściągliwość Mozarta w  
operowaniu środkami muzycznymi.  
Pewien brak reprezentatywności —  
albo tego, co się w muzyce często  
reprezentatywnością nazywa — kon-  
trastujący dobitnie z ogromną żar-  
liwością; umiarkowana kontempla-  
cyjność i refleksyjność trzymane w  
mądrze pojętej artystycznej kon-  
wencji — to czynniki decydujące o  
artyzmie Requiem. Czy mogą one  
jednak wytłumaczyć wielkość je-  
dnego z największych zjawisk mu-  
zycznych historii kultury?

Mimo tak wielkiego znaczenia,  
jakie Requiem posiada w twórczo-  
ści Mozarta jest to kompozytor bar-  
dzo świecki i utwory inspirowane  
tematyką religijną czy liturgiczną  
zajmują w jego bogatym dorobku  
niewiele stosunkowo miejsca. Jest  
on już zapowiedzią tych muzyków  
XIX wieku którzy pozostawili po  
sobie bardzo często wybitne dzieła,  
dziś już klasyczne pozycje muzyki  
kościelnej — ale nie byli tego ro-  
dzaju twórczością pochłonięci w  
stopniu mogącym równać się cho-  
ciażby rówieśnikom Bacha. Requiem  
Mozarta początkuje serię wielkich,  
nierazko bardzo dramatycznych i  
romantycznych Mszy żałobnych —  
ciężkie i masywne Das Deutsches  
Requiem Brahmsa, patetyczne i hu-  
laśliwe Requiem Berlioz, czy bun-  
townicze Requiem Verdiego. Żaden  
z tych utworów nie może się jednak  
równać wielkiej w swoim spokoju  
kompozycji Mozarta.

**T**oczył się wokół tego tematu  
zażarty spór: czy proble-  
matyka „sklepowa” mieści  
się rzeczywistość w tym krę-  
gu publicystyki, jaki zakre-  
śla nasza dyskusja o socja-  
listycznym dniu powszednim? Pada-  
ły liczne argumenty przeciw — że  
zagadnieniem handlu i jego przy-  
padku zajmuje się już od dawna ko-  
lumna miejska poszczególnych dzien-  
ników, że niewiele jest nowego do  
powiedzenia, słyszałem nawet, że  
taki temat mnie osobiście „nie le-  
ży”, mówiąc językiem fachowym.

A jednak choć przyznaje, iż za-  
gadnieniami naszego handlu uspo-  
leczonego zajmuję się ostatnio  
prasa codzienna, uparłem się przy  
tym temacie, biorąc na siebie ryzyko  
„położenia się”, jeśli rzeczywistość  
mi „nie leży”!

Dlaczego? Dlatego po prostu, że  
według moich spostrzeżeń sukcesy  
czy błędy naszego aparatu handlo-  
wego odgrywają niezmiernie ważną  
rolę w kształtowaniu się własnie  
naszego najbardziej powszedniego  
dnia. Któż z nas właściwie nie od-  
wiedza codziennie choć jednego  
sklepu? Jeśli zaś chodzi o kobiety  
prowadzące dom, to codzienna węd-  
rówka po sklepach stanowi jedną  
z najtrudniejszych i najbardziej od-  
powiedzialnych czynności. Sprawne  
więc lub też wadliwe funkcjonowa-  
nie dużych i małych sklepów uspo-  
leczonego stanowi nieraz o nastroju  
bardzo szerokiej warstwy oby-  
wateli.

A o ten nastrój nam przecież cho-  
dzi. On to jest przedmiotem naszych  
rozważań. Na wstępie od razu  
stwierdziłbym przecież, że nie idzie  
nam o śledzenie wielkich osiągnięć  
socjalizmu, lecz rozważać będziemy  
kolejno różne małe i może w jakiejś  
skali nawet niepoważne sprawy,

które jednak wpływają na oblicze  
dnia codziennego. Chodzi o przeana-  
lizowanie tych elementów naszego  
życia, które winny wokół nas wy-  
tworzyć nastrój ciepły i serdeczny,  
a których niestety czasami wokół  
nas brak.

Otóż to jest prawda banalna, ale  
usługa sklepów społecznych stan-  
nowi dziś w dużej mierze czynnik  
wpływający na nastroje szerokiej o-  
pinii publicznej i niestety wpływają  
jeszcze ciagle w niewłaściwym  
sensie.

Definicja problemu sprowadza się  
do następującego pytania: w jakiej  
mierze przeciętny obywatel, wcho-  
dząc do sklepu uspołeczonego, ma  
poczucie, że ten aparat handlowy  
jest stworzony dla niego i funk-  
cjonuje w sposób zgodny z jego  
zyczeniami, a w jakiej odnosi wra-  
żenie, że ma do czynienia z bezdu-  
szną maszyną, przynajmniej go i nie  
liczącą się z jego interesami?

Odpowiedź zbyt często jeszcze wy-  
pada negatywnie.

Bądźmy jednak sprawiedliwi i po-  
wiedzmy sobie od razu, że problem  
właściwego funkcjonowania aparatu  
handlu uspołeczonego nie jest pro-  
sty. Niestety, w najmniejszej mierze  
nie jestem ekonomistą. Zdaję sobie  
jednak sprawę z tego, że rynek han-  
dlowy jest organizmem niezmiernie  
skomplikowanym i delikatnym. Gospo-  
darka na tym odcinku tworzyła i  
rozwijała się przez wieki, żywo-  
lowo, mechanicznie. W jakis spo-  
sób jednak zapewniała obsługę po-  
treb konsumenta. Szkoła jednak, że  
nam nikt dotąd przystępnie nie  
przedstawił obrazu tej gospodarki  
przed wojną w Polsce, że nikt nam  
nie wytłumaczył jej mechaniki dzia-  
łania, jak również nonsensów tego  
świata sklepików, kramów, warszta-  
tów, fabryczek, hurtowników, deta-  
listów, pośredników, dłużników i  
wierzycieli.

Oczywiście zburzenie tego wszyst-  
kiego i zbudowanie nowego syste-  
mu, odpowiadającego jednocześnie

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

## Zza lady sklepowej

wymogom uspołeczonej gospodarki  
planowej i potrzebom nowego kon-  
sumenta, było zadaniem niezmiernie  
trudnym. Co gorsza, system ten  
trzeba było budować przy pomocy  
ludzi, którzy w większości wyrosli  
w tamtej epoce i przynieśli jej men-  
talność do nowych form handlu.  
Pierwsze kroki ku reformie handlu  
musiały więc odbywać się w wyjąt-  
kowo trudnych warunkach.

Nie ulega wątpliwości, że kryzys  
został już przezwyciężony. Handel  
uspołeczonego boryka się wprawdzie  
w dalszym ciągu z dużymi trudno-  
ściami, jednak zasadniczo okrzepł i  
w dużej mierze przystał już do na-  
szego nowego krajobrazu ekonomicz-  
nego. Nawet sławo na dystrybucja  
wywołuje już coraz mniej narzekania.  
Należy również zanotować wyraźny  
wysiłek ku podniesieniu poziomu  
produkcji różnych użytkowych towa-  
rów, zwłaszcza w zakresie ubrania.  
W dużych sklepach, szczególnie w  
tych wzorcowych, poziom obsługi  
handlowej ostatnio wyraźnie się po-  
prawił.

Pozostaje jednak mimo wszystko  
wiele do życzenia w zakresie stosun-  
ków między klientem a aparatem  
handlu uspołeczonego. W dalszym  
ciągu organizacja usługi jest zbyt  
zbiorowocowa, zbyt mało nastawiona  
na liczenie się z zdaniem i z potrze-  
bami klientów, a obsługa  
ciagle zbyt mało sobie uświadamia,  
jak wielką rolę jej postawa odgry-  
wa dziś w tworzeniu dobrych albo  
złych nastrojów w społeczeństwie.  
Spróbujmy wyliczyć parę podsta-

wowych zagadnień z tego zakresu.  
A więc:

### CZAS KLIENTA I CZAS SKLEPU

**W**GORACYM okresie przed  
Świątami Bożego Narodze-  
nia byłem świadkiem gwał-  
townego „tarcia” między amato-  
rami zakupów świątecznych a  
kierownictwem „Delikatessów” na  
Nowym Świecie. W niedziele przed-  
świąteczną niespodziewanie zamknęto  
sklep na przerwie obiadowej w  
godzinach najwcześniejszego napływu  
klientów, w godzinach najdogodniej-  
szych na robienie sprawunków. Nie  
pomogły ani protesty, ani błagania.  
Obowiązywało jakieś zarządzenie,  
które zresztą — rzecz dziwna — nie  
obowiązywało w „Delikatessach” na  
Marszałkowskiej. Zarządzenie zarzą-  
dzeniem, jednak najbardziej charak-  
terystyczny był stosunek kierowni-  
ka sklepu do protestujących klien-  
tów: najdalej idącą obojęt-  
ność wobec ich argumen-  
tów. Nic też dziwnego, że takie  
bzdurne zarządzenie zostało wydane.

Takich problemów, typu godziny  
otwarcia sklepów, można by wy-  
mienić więcej. Nie ulega wątpliwo-  
ści, że system funkcjonowania na-  
szego handlu na tym odcinku jest  
sztywny i wobec tego szuczny. Zbyt  
mało badano i zbyt mało przysto-  
sowano się do rzeczywistych potrzeb  
klientów, którzy mogą nie odpowia-  
dać administracyjnym okólnikom.  
Aparat handlowy ze swej strony o-  
czywiście może się tłumaczyć bra-  
kiem dostatecznej ilości personelu  
dla uwzględnienia wszystkich ży-  
czeń, Niemniej jednak wydaje mi

się, że trzeba czas pracy sklepów  
lepiej zsynchronizować, cnoeby przez  
otwieranie rano części tych placów-  
ek, które wszystkie rozpoczynają  
pracę o 11-ej, skasowanie przerwy  
obiadowej w innych, wzamian za  
późniejsze otwieranie lub wcześniej-  
sze zamykanie.

Nie stawiam tu żadnych konkretnych  
proponycji, a tylko sugestie,  
by przy współdziałaniu prasy codzien-  
nej przeanalizować uważnie wszelkie  
życzenia klientów i dokonać pró-  
by dostosowania się do nich.

### IŚC KLIENTOWI NA RĘKĘ

**K**LIENT, nasz polski klient by-  
wa niesforny, a nawet i wręcz  
nieznośny. Byłem wielokrotnie  
świadkiem wypadków niewłaściwe-  
go zachowania się obsługi sklepo-  
wej, ale przyznaję, że częstsze są  
wypadki, gdy racja jest po stronie  
klienta, a klient zachowuje się wręcz  
niekulturalnie. Takie wypadki po-  
winni być ukrócone przez samą  
publiczność, niestety nieraz zbyt  
bierną, zbyt niemrawą. Pozostaje  
jednak zagadnienie postawy obsługi,  
która — nawet jeśli nie jest nie-  
sądna — nie wychodzi na przeciw  
życzeniu klientów, zachowuje się  
biernie, obojętnie.

Bez wątpienia wynika to nie tyl-  
ko z bezdużności niektórych prze-  
pisów organizacyjno-administracyj-  
nych, ale i również z ciągłej więk-  
szego w Polsce popytu od podaży.  
W przeciwnym razie do stosunków ka-  
pitalistycznych, w których klient  
jest zjawiskiem rzadkim, więc cen-  
nym, u nas klient nie musi być  
przyciągany. Sam przyjdzie do skle-

O socjalistyczny dzień powszedni

# Wiosna przekracza granice

„Teraz tedy pozostają wiara, nadzieja i miłość: to trójce; a z tych największa jest miłość”. (List św. Pawła do Koryntian).

Są książki jak przechodnie spotykani przygodnie na ulicy, z którymi nawiązujemy rozmowę — czasem ciekawą, nawet cenną — lecz później żegnamy ich, aby się już nigdy więcej nie spotkać. Są książki jak ludzie, którzy stali się nam nagłe bliscy i wiemy, że rozmowa, jaką z nimi nawiązaliśmy, będzie toczyła się dalej. Możemy do niej powracać o każdej godzinie. Zawsze pozostają pytania, na które nie potrafimy od razu odpowiedzieć. A wiemy, że odpowiedź musimy znaleźć w sobie.

Mało jest takich książek. Szczególnie we współczesnej literaturze przekładowej. Nazywają się „przechodniami”. Pozostają po nich zwykle rozczarowanie i niedosyt. Tym bardziej cieszymy się z niespodzianek.

Dla wielu czytelników taką niespodzianką będzie „Wiosna”. Sigrid Undset znamy głównie z wielotomowych powieści historycznych. „Wiosna”, zawierająca całą właściwą autorce głębię psychologii, jest nam bliższa przez to, że mówi o ludziach, którzy żyją pośród nas z egi, znanej nam cywilizacji, którzy tak jak my, udają się co rano do biura, jeżdżą tramwajami, tęsknią za bezpośrednim kontaktem z przyrodą, przeżywają małe, codzienne sprawy. Ale poza tym rozgrywa się w nich Wielka Sprawa. Ta sama Wielka Sprawa, która drążyła serca Krystyny córki Lawransa i Olafa syna Auduna. Tylko tam — w tamtych powieściach — zasnuła ją mgłą legendy, oddalona o cały dystans innego czasu, innej kultury, innego modelu psychicznego człowieka. Ta sama Wielka Sprawa w ludziach podobnych tym, których spotykamy co dzień na ulicy, których możemy znać, porusza nas nieporównanie silniej.

Jest to książka o wyrastaniu i dojrzewaniu najwyższej ludzkiej miłości, miłości, w której ma swój udział Bóg.

Bohaterowie powieści to dwoje młodych ludzi, Torkild i Róża. Torkild kocha Różę od lat chłopięcych. Miłość jego dojrzewa w ciągu lat, aby stać się wreszcie miłością — jeśli nie pełną, to w każdym razie bardzo bliską tej pełni, jaką dostępną jest ludzkiej miłości. Róża żywi wobec Torkilda jedynie uczucia siostrzane. Tęskni za „czymś innym” zupełnie od tego, czym żyła dotąd, za nieznanym. Ceka na miłość, która by spadła na nią jak burza, wyrwijając ją z samej siebie, ukazując nowe światy.

Nadchodzi jednak dzień, kiedy Róża niespodzianie dla siebie odkrywa to, czego szukała, w Torkildzie, w i n n y m Torkildzie,

4) Sigrid Undset: „Wiosna”. Wyd. Pax. Warszawa 1955 r.

form bezpośredniego kontaktu klientów z załogą sklepową, łącznie z organizowaniem, zwłaszcza dla kluczowych placówek, doradczych komitetów spośród klientów dla oceny funkcjonowania placówki, oceny warunków czy projektów racjonalnie regulujących okresy wzmożonego ruchu i zapotrzebowania. Może by to również bardziej zmobilizowało aparat handlowy do przeniesienia do dystrybucji i produkcji wniosków, wynikających z codziennych uwag i życzeń użytkowników, rzadko tylko wyrażanych formalnie i obowiązująco.

## A OD STRONY SPRZEDAJĄCYCH?

SPRZEDAJĄCY musi oczywiście być zainteresowany materialnie w dobrym funkcjonowaniu swego sklepu. To jednak nie wystarczy. Sprzedający powinien być świadomy, że określenie „handel uspołeczniony” nie jest tylko pojęciem abstrakcyjnym, ale oznacza zwiększenie się roli i odpowiedzialności społecznej aparatu usługowego w handlu. Nie wiem doprawdy nic o wkładzie pracy w podnoszenie świadomości społecznej naszego aparatu handlowego. Na pewno na tym, jak i na wielu innych odcinkach, dokonuje się poważna praca, ale tu jest, być może, więcej do zrobienia niż gdzie indziej, gdyż tu właśnie spotykamy się najwyraźniej z pozostałościami ducha kapitalizmu, czyli ducha gonienia za indywidualnie i egoistycznie pojętym zyskiem.

Na to jednak, by personel handlowy sprostał swym nowym zadaniom, musi być wytworzona atmosfera, w której będzie on lubił swój zawód i wkładał w tę pracę dużo serca.

Praca handlowa jest trudna. Jest ona przede wszystkim fizycznie męcząca, zwłaszcza przy natłoku zdecydowanej czekającym klienteli. Jest nerwowa, łatwo o pomyłki, które zazwyczaj biją po kieszeni sprzedawców; oni przecież odpowiadają

jakiego dotąd nie znała. Ale w dużej mierze był to (choć nie zdaje ona sobie z tego sprawy) skutek zmęczenia niespełnionym oczekiwaniem. Wielka „gra” pomiędzy Torkildem a Różą toczy się dalej; małżeństwo nie przerywa jej. Czasem wydaje im się, że osiągnęli już szczęście dostępne ludziom, ale w głębi czują, że tak nie jest. Torkild wie, że nie zdobył Różę w pełni. Róża wie, że nie oddała się i nie może mu się w pełni oddać. Przeszkoda są niewidzialne ściany, znajdujące się w sercu każdego, dzielące ludzi najbardziej sobie bliskich. Ściany nie pozwalające poznać i zrozumieć drugiego człowieka, a nawet samego siebie.

Owe ściany stanowią naturalne „ja” człowieka. Lubi się ono raczej utwierdzać w sobie, niż się udzielać. Raczej chłonie, niż daje. Jest u ogromnej większości ludzi jedynie konsumpcyjny: jak najwięcej miłości dla mnie, jak najbogatsze, najmocniejsze jej przeżywanie — dla mnie.

Czy człowiek jest wobec tych ścian bezsilny? Czy może je usunąć? Na to właśnie pytanie daje odpowiedź powieść Sigrid Undset, a raczej skłania czytelnika, by sam spróbował na nie odpowiedzieć.

PRAGNIE jej dlatego, że ona właśnie jest taka, jakim on chciał być, tylko nigdy nie miał do tego warunków... Zdawało mu się, iż w godzinie, kiedy będzie mu dane wziąć ją w ramiona, ogarnie to wszystko, czego tak rozpaczliwie z takim uporem pożądał przez długie młode lata pełne samotności, rozpacz i upokorzeń.

Róża stała się dla Torkilda uosobieniem idealnym. W nią wcielił wszystkie swoje marzenia. Niewielu jest ludzi zdolnych do tego, chociaż wielu posiada marzenia, marzenia wybiegające ponad sprawy znalezienia sobie miejsca w życiu i „uładzenia” życia. Każdy strzeże ich na swój własny użytek. Czuje się bowiem o s o b n o. Każdy niemal przeżywa jakąś miłość, ale rzadko kto zgadza się na odstąpienie choćby „kawałka” siebie. Za darmo.

Torkild kochał swój ideał wcielony w Różę, ale kochał i ją — taką, jaką była. Róża mogła mu jednak zarzucić, że przeżywa on swą miłość zbyt samotnie, że absorbuje go samo p r z e z y w a n i e, pograżanie się w „czterech ścianach” własnej osobowości. Mogła mu powiedzieć: „kochasz nie mnie, ale swoją miłość”. I to było przyczyną wielu powikłań.

Pomimo całej swej miłości Torkild był o b o k Róży, nie r a z e m z nią. Cierpiał w próżnym usiłowaniu dotarcia do niej. To największa męka, jaką może przejść ktoś, kto kocha. Żyć obok kochanej osoby, patrzeć jej w oczy, brać w ramiona ciało, to ciało dostępne w każdej chwili, a nie móc odpowiedzieć przerażającej myśli, że jest się o s o b n o, że nie można dotrzeć do jej wnętrza.

osobiście za stan swojej kasy, o ile osobiście odbierają pieniądze, a za stan towaru w każdym wypadku.

By praca handlowa dawała satysfakcję w tych warunkach, jest rzeczą niezbędną, by sprzedawca odczuwał satysfakcję z przedmiotu swojej pracy, by mógł być zadowolony i dumny ze swego sklepu i ze swego towaru. Jest faktem, że zarówno estetycznie urządzony sklep, jak i estetyczny towar podnoszą psychicznie sprawność sprzedawcy. Jest faktem stwierdzonym, że sprzedawca, dysponujący towarem ładnym, wziętym, pracuje lepiej niż kolega czy koleżanka, którym przypadło stoisko, może nawet oblegane przez klientów, ale z towarem mniej udanym, choć poszukiwanym. Tu się prawdopodobnie kryje klucz do zagadki, dlaczego w Warszawie na MDM obsługa „Galluxu” męskiego jest znacznie mniej sympatyczna od siostrzanego sklepu dla pań — bo w tym drugim towary są ciekawsze, ładniejsze, klientki i sprzedawca z większym zainteresowaniem odnoszą się do transakcji, choć wiadomo, że kobiety są kłopotliwszymi klientkami od mężczyzn!

Do zagadnienia estetyki sklepów chciałbym jeszcze powrócić przy innej okazji, zwłaszcza jeśli chodzi o skandaliczny poziom naszych wystaw sklepowych. Zatrzymajmy się narazie tylko przy zagadnieniu estetyki podania towarów. Wiadomo znów, że na Zachodzie poczyniono w tym kierunku olbrzymie wysiłki i osiągnięto rzeczywiście poważne wyniki. Jest to prosta konsekwencja rywalizacji w walce o klienta, przy nadmiarze towaru i sklepów. Ale reklama kosztuje i na pewno sprzedawca nie dokłada do niej ani grosza, bo musiałby zbankrutować. U nas wzdrygnięci oszczędności, oszczędzanie kieszeni klienta przede wszystkim kazały zepchnąć ten problem na drugi plan. Jednak wymagania klientów wzrastają. Nasz rynek po-

Torkild stwierdza w pewnej chwili z bólem: „wierzę jej. Ale nie znam jej”. Myślę, że zdanie to lepiej będzie brzmieć po przestawieniu: „Nie znam jej... Ale wierzę w nią”.

Zrozumiem dopiero później, że „brak mi było zawsze zaufania do siebie samego, jeśli szło o ciebie (Różę)... Zawsze poddawałem się chorobliwemu popędowi, aby grzebać w ziemi i patrzeć, czy korzenie puściły”. A przecież w i a r a powinna wystarczyć.

OLE „granice” istniejące w Torkildzie sprowadzały się do zaciśniętych twornie dłoni, w których trzępotał się w pragnieniu wolności pochwycony ptak szczęścia, i do oczu śledzących poprzez spary w dłoń jego trze-



Współczesna grafika skandynawska

potanie — o tyle „granice” istniejące w Róży były bardziej nieprzekłonne, mocniej broniące.

„Nie potrafiła nigdy zapomnieć o sobie. Chwilami, kiedy Torkild ją porzywał, była przecieź szczęśliwa. Ale zawsze popadała z powrotem w swój stary błąd: chęć odzwierciedlenia własnej istoty i zajmowaniu się wyłącznie swoją osobą — wada, którą jemu stała zarzucaną”. Kiedy zdawało jej się, że odna-

woli zapelnia się i jest coraz mniej amatorów na tandetę. Niedługo nie będzie też amatorów na towar nieestetyczny, choćby nawet w dobrym gatunku. Czas więc najwyższy, by personel handlowy sam o to zaczął walczyć, zyskując sobie sympatię i wdzięczność kupujących.

W powyższych uwagach, jak zastrzegłem się z góry, pominąłem wszystkie istotne problemy produkcyjne, tak ściśle przecież związane z funkcjonowaniem naszego handlu. Ta część rozważań skierowałaby nas jednak ku najpoważniejszemu, bo centralnym problemom socjalizmu, ja natomiast — by być wiernym programowi tego cyklu — chcę pozostać na jego psychologicznych peryferiach.

Istnieją takie dziedziny naszego życia, których wadliwe funkcjonowanie stanowi jakby zapórę, kurtynę, utrudniającą szerokiej opinii dostęp do istoty zagadnień budownictwa naszej epoki. Obok biurokracji i monotonii życia kulturalnego w jego szerokim odbiorze — w prasie, książce, filmie — bezduchność funkcjonowania handlu uspołecznionego wydaje się jednym z tych kluczowych problemów, które go rozwiązaniem tylko wówczas może się odbywać skutecznie, jeśli nie będzie się jednych okólników wymieniać na inne, lecz nawiąże się dostatecznie silne, bezpośrednie stosunki między klientelą tego handlu z jednej strony a samym personelem (nie tylko dyrekcją) z drugiej. Bez wątpienia prasa może tu wiele pomóc. Niemniej jednak i ona nie ostatecznie nie wskóra, jeśli ten bezpośredni kontakt nie stanie się bardziej bliski, bardziej żywy i bardziej skuteczny niż obecnie.

Wojciech Kętrzyński

laża nowego, „Innego” Torkilda i że pokochała go już na pewno, na zawsze, było to tylko przekonanie, że uda się jej odnaleźć w nim siebie; „inną” również, taką, jaką pragnęła być — a l e s i e b i e. Jego miłość, najgłębsza prawda jego miłości do niej pozostała jej nieznaną. Pokochała zwierciadło.

Możemy wyobrazić sobie dialog pomiędzy nimi:

— Marzę o tym, abyś się stał moim drugim „ja”, zebym mogła się w każdej chwili przejrzeć w tobie i zobaczyć siebie.

— Ale co wtedy byś stała ze mną? Z tym właśnie m n a, który cię kocha?

— Tęsknię za cieniem, za swoim własnym cieniem, do którego mogłabym zawsze powrócić; utrzeć w chwili trwogi, że jest mój cień, a więc i j a j e s t e m.

— Różo, a gdzieś szacunek, gdzieś miłość dla drugiej, najdroższej istoty? Czyż można ją niszczyć, „pożerać”? Wymagać, aby przestała istnieć? Można jest tylko wymiana: ja staję się tobą, ty stajesz się mną.

— Ty mną, ja tobą?

— Tak, Różo. Zaden człowiek nie może być zabawką drugiego, choćby najbardziej ukochaną... Miłością ni można się bawić.

Nadszedł czas, gdy Róża zrozumiała, że „miłość człowieka jest najsurowszą powagą”. Ale do zrozumienia tej prostej pozornie prawdy wiedzie długa i trudna droga.

JEDNA z największych przeszkód w każdej ludzkiej miłości stanowi niepewność wypływająca z niestałości, braku ustawiczności uczucia. Światło wiedzy i pewność tej wiedzy o rzeczy tak niewymiernej i nieuchwylniej jak miłość — jest nietrwałą. „Na codzień” trwa mrok, a raczej odretwiąjąca, zubożniająca szarość. Stan zresztą naturalny, gdyż człowiek, żyjąc w chaosie codziennych spraw, nie zniósłby ciśnienia stałego napięcia jednego uczucia. Ale w mgłę tej szarości gubi często i zapomina to, co już miał, co już wiedział. Musi to zdobywać wciąż na nowo. To, co już posiadał, a co mu się ustawicznie wyslizguje z rąk.

„Ten dzień, w którym stał się jej własnością, oznacza więcej niż ten, w którym ona odda mu się na zawsze”.

To jedno z najpiękniejszych i najprawdziwszych zdań, jakie znajdujemy w tej książce. Aby zasłużyć

na miłość, aby stać się jej godnym, należy d a w a c nie pytając o zapłatę. Ważne jest to, aby oddać się kochanemu człowiekowi bez warunków. Jest to postawa heroiczna, ale jedynie możliwa dla kogoś, kto pragnie sięgnąć po — równie trudną do pochwylenia jak legendarny kwiat paproci — najwyższą miłość. Jakże często jest postawa ostrożnego wyczekiwania: jeśli ty mnie pokochasz, to i ja ciebie. Dwoje ludzi stoi przy otwartych drzwiach, czekając, które z nich wejdzie pierwsze. Czekają często dopóty, dopóki drzwi się nie zatrzasną.

Miłość nie ogranicza się wyłącznie do uczucia. Powinna angażować wszystkie ośrodki psychiczne człowieka, a więc również intelekt i wolę. Istnieje problem „uprawy”, „kultury” miłości. Należy z całą siłą walczyć z buntem miłości własnej, czuć nad delikatnym pędem uczucia. Nie może ono być pozostawione sobie, rosnąć „dziko”.

Trudne i powikłane są drogi miłości. Jak znana nam ze starożytności próba labiryntu. Potrzebny jest wtedy niewidzialny Przewodnik. Pojawia się On zawsze przy idących tą drogą.

S T A R A L E M się dać ci cokolwiek, choćby nie wiem jak mało, w podzięk za to czym ty dla mnie jesteś, byłaś i zawsze będziesz”.

Ta wierność swojej miłości i rozumienie, czego ona odeń się spodziewa, czego wymaga, doprowadziła Torkilda do przekroczenia jego własnych granic, spowodowała „pęknięcie lodów”, przełamanie granic w Różę. Pełny rozkwit, dojrzewanie uczucia dokonało się poprzez walkę, poprzez stopniowe ogarnianie nim wszystkich perspektyw psychicznych. W dużej mierze — bez udziału świadomości — oboje: Torkild i Róża — dawali sobie — siebie; oddawali się mniej lub bardziej określonymi intelektualnie treściami psychicznymi; wymieniali je między sobą przez wszystkie te lata — spokojnego, szczęśliwego pozornie lub na przemian wypełnionego nieokreślonym niepokojem, poczuciem n i e d o s t a t e c z n o s c i — wspólnego życia. Ich dobowolne rozejście stało się próbą siły ich uczucia, grzechem do pełni wzajemnego posiadania się. Torkild wyrzekając się Różę dla j e j dobra, zdobywając się na to najwyższe poświęcenie, odzyskał ją, zdobył nareszcie c a ł a. Takie są prawa miłości. Miłości, która cierpliwie drąży serca.

Prawa te wydają się wielu nie do udźwignięcia, okrutne. A są one sprawiedliwe i dobre. Bo miłość jest ciągłą walką, trudem i zdobywaniem.

Znajdą się pośród czytelników tej książki tacy, którzy urzują w niej — w miłości Torkilda do Róży — niebezpieczeństwo ukochania człowieka ponad Boga. Dla tych odpowiedzią mogą być słowa „Jęj Wysockości Regentki” Małgorzaty z „Plus ultra” Gertrudy von le Fort:

„Istnieje tylko jedna miłość, która pochodzi z nieba, nawet gdy ten świat nazywa ją ziemską. Bóg przyjmuje ją, jakby była przeznaczona dla Niego samego”.

K L I M A T i tematyka „Wiosny” bliskie są klimatowi i tematyce utworów Gertrudy von le Fort. Przymińmy sobie opowiadanie „Plus ultra”. Dojrzyjmy wtedy, że wspólną cechą pisarek jest czyste, pełen powagi ton, jakim mówią o największej Przygodzie, która może wstrząsnąć sercem ludzkim, nadać sens i wskazać cel życia człowiekowi — o miłości.

Nie zamierzam przypominać treści opowiadania G. von le Fort, pragnę jedynie „ukraść” — a będzie to chyba kradzież godziwa — sam tytuł, „Plus ultra”.

Człowiek jest z natury egocentryczny; przyjmuje wszystko pod kątem swych osobistych doznań.

Mają one swój ustalony porządek. To stanowi granicę, kredowy krąg, poza który nie może wyjść. Z tego źródła wypływa niepełna znajomość lub po prostu nieznanomość samego siebie, a tym bardziej innego człowieka. Obcość, niezrozumienie, z którego rodzi się ból lub — jeszcze gorsza — pustka.

„Plus ultra” — granicę m o ż n a p r z e k r o c z y c. Granice ludzkiego egoizmu może przekroczyć miłość, miłość, która zgadza się na rozbitcie „ścian”, miłość, która wyrzeka się swego dobra dla dobra osoby kochanej. Miłość, która „cierpliwa jest, łaskawa, nie szuka swego...”. Wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko wytrzyma”.

Obraz takiej miłości znajdujemy na kartkach książek Gertrudy von le Fort i Sigrid Undset. Nie ma w nich egzystencjalistycznego pesymizmu, wątplenia w człowieka, gorzkiej rezygnacji. Jest ufność w Boga, który sam jest miłością; jest optymizm nierozłączny z miłością wiary i nadziei.

Jeśli „Wiosna” ma być symbolem pełnej, najwyższej ludzkiej miłości, to tytuł opowiadania niemieckiej pisarki stanowi najbardziej odpowiednią dla niej dewizę. Wiosna, która przekracza, łamie granice.

Uczucie miłości, przeszedłszy wszystkie próby „dolnej płaszczyzny”, oczyszczy się, wyrasta w górę. Sprawdza się tu prawdziwość i znajdująca potwierdzenie w życiu realność chrześcijańskiej etyki miłości. Wszystko, co pragnie stawać się lepsze i większe, co staje się nim w codziennej walce, dąży konsekwentnie ponad doczesność; jest podniesione do perspektywy pozaziemskiej.

Zarzuca się chrześcijańskiej etyce miłości wrogą człowiekowi ascetę, ograniczanie osobowości, nie liczenie się z naturalnymi instynktami człowieka. Niekiedy trzymając groźną „ponura konieczność stałego rozliczania się z Bogiem”. A przecie etyka chrześcijańska nie jest tablicą kamiennych praw, martwym zestawem dławiących wolność człowieka norm. Nie jest też poetyckim mitem. Wyrasta z życia. Znajduje w nim pełne pokrycie.

Dramat bohaterów „Wiosny” potwierdza w pełni jej prawdziwość. Jest dramatem r e a l n y m.

Zawarty w miłości potężny ładunek dramatyzmu wykorzystali świetnie pisarze egzystencjalistyczni. Ale w ich książkach człowiek skazany jest na wieczną samotność, na nieuchronną klęskę. Odrzucając z grymasem pogardy nadzieję, przyjmują „odwagę” strach. W rzeczywistości jest to chłóstwo.

Chłóstwo ucieczki przed walką, którą m o ż n a w y g r a ć.

Miłość bowiem musi przejawiać się na zewnątrz — musi być miłością zawsze dzielącą się, dającą, ofensywną, dynamiczną — aby zostać zwycięską.

W szkicu moim starałem się ukazać zasadnicze problemy psychologiczne powieści. Podkreślić ich doniosłość, szczególnie w chwili obecnej, gdy tak powszechnie niski jest poziom etyczny i estetyczny miłości.

Pragnąłbym bardzo, aby ta książka nie przeszła niezauważenie. Aby sięgnęli po nią ci, którzy odnajdą w niej bardzo bliskie sobie sprawy, i ci, którzy nawet nie są świadomi ich istnienia. Może ona dać tyle, ile daje rozmowa z mądrym przyjaciele. A pamiętajmy: przechodniom na ulicy życia jest wielu, przyjaciół mało. Tak samo w literaturze.

Szlachetna i surowa jest powaga tej powieści, jak surowa, najsurowsza jest powaga miłości, którą wypełniona jest ta książka; miłości, z której ta książka powstała.

WYDAJE się, że opowiadanie Krzysztonia stwarza w literaturze katolickiej bardzo niebezpieczny precedens. Każdego, kto mniej lub bardziej uważnie śledzi procesy kształtujące mentalność oraz styl życia większości katolików (zarówno w kraju, jak i na Zachodzie), jednocześnie zaś obserwuje systematycznie zjawiska wyznaczające charakter oraz kierunek twórczości katolickiej — uderzyć musi specyficzną zbieżność między życiem katolików i ich literaturą; zakorzenionemu schematyzmowi katolickiego ujmowania rzeczywistości odpowiada w pełni swoisty schematyzm literatury katolickiej. Jeżeli bowiem w codziennej praktyce życiowej katolicy zbyt mało poświęcają uwagi transcendentnej rzeczywistości, w literaturze katolickiej dzieje się wręcz odwrotnie. Reczywistość nadprzyrodzona wybija się tu zdecydowanie na plan pierwszy, skonstruowana umiejętnie z ciemnym na ogół tłem ludzkich wad i ułomności.

Jest to nie tyle może zagadnienie perspektyw, ile prawo kompensacji. W praktyce powoli wykrystalizował się typ powieści posiadający specyficzne cechy, które pozwalają wyodrębnić go spośród innych. Typów, nazwaną siłą nauki myślowego powieścią katolicką, ujmującą bogatą i różnicowaną rzeczywistość w kategoriach psychologicznych lub moralnych, sprawadając ją z reguły do wymiarów jednorozowego, niepowtarzalnego fenomenu. Totalna, dwuplanowa rzeczywistość, rzutowana na niewymierną płaszczyznę osobowości ludzkiej, krąży po orbicie będącej wypadkową czterech osi: grawitacyjnych, smutny w swej specyficznej wymowie i głęboko tragiczny w nadmiernej skłonności do literackiego samopowielniania zamknięty system: Bóg — człowiek — Łaska — upadek staje się centralnym motywem zbliżanym do bezdroża psychologii współczesnej twórczości katolików. Owe cztery problemy, izolując pisarza od szorstkiej trójwymiarowej doczesności, przekształcają literaturę w mniej lub bardziej pasjonującą czysto intelektualną grę. Zawieszony w historycznej próżni, uwolniony od krępujących powiązań socjologicznych, osamotniony bohater powieści katolickiej staje się w konsekwencji materialnym symbolem abstrakcyjnej reguły o z góry określonej roli i ściśle wyznaczonym zakresie działania.

Można by zaryzykować twierdzenie, że w znakomitej większości wypadków jesteśmy świadkami przesunięcia centrum zainteresowania pisarzy katolickich ze „świata”, zbyt trudnego dla ich artystycznych doświadczeń (i ograniczonego zazwyczaj do czysto zewnętrznych akcesoriów), w mglistą, pograniczną sferę przecinania się dwóch rzeczywistości. Jest to zjawisko aż nadto zrozumiałe.

Niewyższaniem w swych możliwościach dziecinna dziedzin rzeczywistości psychologicznej i bezpośrednio modelująca ją, empiryczne niesprawdzalna dziedzin rzeczywistości nadprzyrodzonej otwierają przed doświadczonym twórcą nęcące perspektywy wielu efektownych, sztucznych rozwiązań konstrukcyjnych. Konstruowanie rzeczywistości przedstawionej w utworze przekształca się w tych warunkach w ciąg operacji myślowych wyrastających organicznie z niewzruszonych apriorycznych zasad światopoglądowych.

Warsztat pisarski katolickiego twórcy przypomina w pewnej mierze laboratorium alchemiczne, gdzie cztery naczelnne motywy: motyw Boga, człowieka, łaski i upadku pełnią rolę czterech podstawowych ingrediencji, które łączą się lub rozłączają, ściśle w myśl wskazan doktrynalnej receptury. Tajemnicą dobrego rzemiosła polega oczywiście na połączeniu jak najbardziej zaskakujących i niezwykłych.

Praktycznie rzecz biorąc, sprawdzalna, pozaliteracka rzeczywistość posiada wartość o tyle, o ile staje się materialem ilustracyjnym tez światopoglądowych. Jeżeli bowiem pisarz tworząc fikcję daje nam obraz świata, jakiego umysł żąda od rzeczywistości (J. Kleiner), pisarz katolicki daje nam taki obraz świata, jakiego doktryna katolicka żąda od umysłu.

Proces kształtowania się dzieła literackiego przypomina w pewnym stopniu rozwiązywanie równania; mechanizm powstawania utworów współczesnej literatury katolickiej porównać by można równoległe do procesu sprawdzania poszczególnych układów. Kiedy więc twórca szuka w rzeczywistości pozaliterackiej konkretne rozwiązania, twórca katolicki szuka w niej z reguły przede wszystkim materiału dowodowego; w praktyce — materiał ten sam najczęściej konstruuje.

Tak powstaje funkcjonalny apokryf wpisany w kontekst życia, różowy lub czarny falsyfikat świata, który mimo naturalistycznych niedkiedy zacieków jest przejrzysty i uporządkowany jak mieszczański salonik.

Od kilku lat jesteśmy na szczęście świadkami pewnych charakterystycznych procesów, które przekształcają z wolna dotychczasowe, statyczne oblicze literatury katolickiej. Coraz częściej w centrum twórczych zainteresowań pisarzy katolickich pojawiają się węzłowe zagadnienia społeczne oraz światopoglądowe. Trudny egzamin „ze współczesności” nabiera powoli dla

każdego niemal pisarza katolickiego wagi obowiązującego egzaminu dyplomowego. Pierwsze, bardzo interesujące niewątpliwie próby twórców zachodnio-europejskich, że wymięnię tu choćby „Święci schodzą do piekieł” i „Bezdomne psy” G. Cesbrona czy „Spokojnego Amerykanina” G. Greene’a, uzbogacone u nas o płaszczyznę historyczną (powieści Dobraczyńskiego, Gołubiewa i Malewskiej), wskazują, że literatura katolicka wkrocza nieśmiało w nowy, skomplikowany etap poszukiwań.

Trudno na podstawie tych skąpych słów wypunktować dziś przyszły kształt oraz wykreślić kierunek rozwoju twórczości katolickiej w następnym choćby dziesięcioleciu. Pewne natomiast bardzo charakterystyczne, uparcie pojawiające się w tej twórczości elementy pozwalają zasygnalizować obecność nowych tendencji oraz możliwości, które w mniejszym lub większym stopniu zdecydować mogą o przyszłym charakterze literatury katolickiej.

W radykalnie zmienionych warunkach z nową siłą ożywa np. stary problem roli oraz charakteru Kościoła. Pod obrządem konkretnych doświadczeń społecznych, charakterystycznych dla dotychczasowej postawy wielu pisarzy katolickich, historyczny aspekt tego zagadnienia traci swą światopoglądową przydatność aktualnego rozwiązywania bezpośrednich problemów dnia codziennego. Coraz ostrzej rysuje się przed pisarzami katolickimi konieczność odważnej konfrontacji doktryny katolickiej ze wszystkimi bez wyjątku zjawiskami skomplikowanej rzeczywistości doczesnej.

Wydaje się, że w „Sekrecie” Krzysztonia konieczność owa przejawia się przede wszystkim w przekornym dążeniu młodego autora do programowego antyschematyzmu. U podłoża koncepcji Krzysztonia tkwi wyraźna, choć nieświadoma może w pełni chęć artystycznego przeciwstawienia się dominującej w praktyce pisarzy katolickich tendencji wygodnego ilustrowania tez światopoglądowych materiałem sztucznie konstruowanym z rzeczywistości pozaliterackiej, chęć sprawdzenia prawdziwości doktryny w sytuacjach najbardziej wątpliwych.

Wstrząsający proces przedśmiertnego buntu Pawła Rosickiego przeciw możliwości istnienia innych płaszczyzn rzeczywistości prócz płaszczyzny najprymitywniejszej węgacacji jest najdalej posuniętą konsekwencją postawy katolickiego sprawdzania funkcyjności przyjętej i wyznawanej doktryny w trudnym świecie nowych form ustrojowych. Śmierć Pawła jest w pewnym sensie kontynuacją centralnego problemu śmierci Zefrida ze „Złych dni” Gołubiewa, bezpośrednio jednak tkwi niewątpliwie w nierozwiązanej problemie śmierci Scobiego z „Sedna sprawy”. Dalej pójść nie można. Działanie łaski zasugerowane w scenie śmierci Zefrida odzyskaniem zagubionej wiary w wartość człowieka czy wywodzące się z prostej konsekwencji Bożej miłości jak w wypadku Scobiego, odzyskuje w opowiadaniu Krzysztonia właściwy klimat nadprzyrodzonego zjawiska. Jakakolwiek byłaby rozpiętość naszych doświadczeń, istnieje nieprzekraczalna granica, poza którą rozciąga się niedostępna dla ludzkiego poznania tajemnicza dziedzin dróg Bożych. Sprawadanie działania Łaski na płaszczyznę rozumiałych dla nas schematów myślowych jest niewątpliwie wychowawcze, lecz na pewno zubożające naszą wiedzę o świecie. Pod tym względem „Sekret” Krzysztonia wymaga specjalnie aktywnego współudziału odbiorcy. Dla czytelnika mniej przygotowanego opowiadanie stać się może źródłem wielu nieporozumień i wątpliwości, częściowo z winy samego autora, który niepotrzebnie spiętrza trudną problematykę w kilka kondygnacji znaczeniowych. Cztery przecinające się płaszczyzny interpretacyjne (psychologiczne studium śmierci orużnika, rola nienazwanego bohatera-robotnika, problem ludzi stojących poza Kościołem, działanie Łaski) stwarzają, że opowiadanie Krzysztonia będzie prawdopodobnie w swym pionierskim oddziaływaniu bardzo ograniczone.

Zbigniew Jakubik  
Lublin

## Niebezpieczeństwo odwagi

Jestem stałym czytelnikiem Waszego pisma. Z sympatią śledzę jego rozwój. Cieszę się ze wzmóc, martwię upadkami.

Duże zaniepokojenie wzbudziło we mnie (a przypuszczam, że nie tylko we mnie) zamieszczone w numerze 4 (z 29 stycznia b.r.) opowiadanie Jerzego Krzysztonia pt. „Sekret”.

Nie mam nic do zarzucenia stronie formalnej opowiadania. Osądając je na tyle, na ile pozwalają mi moje skromne wiadomości z dziedziny literatury, widzę w nim bardzo dobrą robotę.

Tym bardziej mi przykro, że talent Krzysztonia służy niepełnie temu, czemu powinien służyć; zwłaszcza gdy jego posiadacz jest jednym z nielicznych pisarzy katolickich.

Wydaje mi się dziwna swoboda językowa „Sekretu”. To jest nie tylko kwestia „oryginalności warsztatu”. Przecież prozę tę czytają czytelnicy. I to różni czytelnicy.

Nie zamierzam czepiać się poszczególnych „jednych” słów. Chodzi mi raczej o ogólny klimat opo-

...„Sekretu” żadnemu człowiekowi nie trzeba zazdrościć... Nie trzeba również rozrywać, analizować i przetrząsać zalet i wad ludzkich serc, ludzkich uczuć i najszybszych myśli. Można je najwyżej ukazywać i to nie pod mikroskopem... Może dlatego właśnie sekret Pawła Rosickiego jest dotąd sekretem dla wielu czytelników „Dziś i Jutro”.

Sekret Pawłowi nie daje spokoju. Pamięta on dobrze, jak wtedy w baroku Józef czyszczył buty wyśmiewał się z Michała, który się modlił i sztydził zwracając się do kolegi: „Na cholere! mnie żyć po śmierci proszę księdza proboszcza?” Dziś Paweł przywołuje Józka głosem zdławionym przedśmiertną gorączką i woła: „A gdzie twój elektrownia na Wisłę? Gdzie twój światło dla ludzi? Gdzie twój linie wysokiego napięcia? Co? Pamiętałeś tu o tym, nim żeś tę lipę odstawił?”

Paweł zmaga się sam ze sobą. Przypomina sobie ojca, który nie wierzył w Boga. „... I dlatego był u ojca, jak w Sereńadzie, ten żal. Jakby coś gdzieś zgubił i nie mógł odnaleźć i wiedział, że już nie odnajdzie...” Patrzył Paweł na zecera Stenza, którego nazywał

szczurkiem, i mówił: „To pan mosz szczęściem, panie Stenz. I trzymaj je pan przy sobie. Bo są tacy, dla których nigdy nie będzie biletu, ni wchodu nawet przez ucho od igły. I ci też nigdy o wchód nie poproszą. Bo to jest łatwo szukać rozgrzeszenia u Ojca Niebieskiego. Ale chciej pan sam siebie rozgrzeszyć!”

Poczucie odpowiedzialności za swoje czyny, borykanie się małego ludzkiego rozumu wobec spraw Największych i najbardziej Niepojętych, a jednocześnie niezrozumienie Przeogromnej Miłości Boga-Stwórcy i Boga-Odkupiciela — każą Pawłowi wołać z głębi serca: „Bo co mi z tego, że Ty byś mnie odpuścił, jak ja sobie odpuścić nie mogę...” Paweł nie chce „taniego” biletu do Królestwa Niebieskiego...

Dla kogo napisał Krzyszton ten nowelę? Dla katolików, czy dla ludzi niewierzących? A może dla jednych i drugich...

Wydaje mi się, że słowa wypowiedziane przez Pawła Rosickiego: „...Bo — moim zdaniem — mało kogo obchodzi drugi człowiek...” — odpowiadają na to pytanie. A trzeba, żeby nas wreszcie zaczął obchodzić. I dlatego warto dojrzeć to wszystko, co przeżył Paweł.

Ludzie na ogół mało wiedzą o innych, chociaż dużo o nich mówią. Natomiast rzadko zdarza się, aby mówili o innych dobrze. Uczciwość intelektualna i moralna człowieka niewierzącego w jego drodze do Boga, opisana przez katolika, ma, w moim przekonaniu, tę wielką wartość, którą tylko miłość do człowieka w świetle miłości Bożej może ukazać. Ale jest inny punkt widzenia, polegający na tym, że poprzez miłość do człowieka, któremu chce się pomóc i to nie za pomocą „schematycznego biletu do Królestwa Niebieskiego”, poprzez pomoc w odnalezieniu tego, co kiedyś zgubił — sprawi się, że nie żal z Sereńady Schuberta, ale „wszystko, coś stracił, wszystko coś zgubił, w Bogu, bracie, odnajdziesz”.

... A to trudna sprawa! I nie każdy to potrafi, nie każdy umie zmlieć, kiedy potrzeba, i jest w tym jakaś — jakby to powiedzieć — jakaś godność... Tę godność, którą pisarz widzi przede wszystkim w czytelniku, a polegającą na tym, że istnieje jakieś zrozumienie wzajemne między pisarzem a czytelnikiem — odczytać łatwo ze szpalt „Sekretu”.

Czy jednak Krzyszton tej sprawy nie przeciągnął? Wydaje mi się, że dostarczyć trzeba niebezpieczeństwo niedomówień, wielokropków i przemięci szczególnie w poruszonych przez „Sekret” problematyce. Widzieć trzeba również wartość przemilczeń, jako jednego z elementów literackiego rzemiosła. I tu trzeba wybierać. Moim zdaniem zachwył jednostek, nawet znaczenie i walor artystyczny doskonałej prozy jest jakoś niewspółmierny z niechęcią, odrząz nawet, spowodowaną nieporozumieniem u setek czy tysięcy czytelników. A taki jest chyba przewidywany bilans odczytania „Sekretu”.

Paweł cały czas bluźni. Niezależnie od tego dokonywanie takich zestawień jak: „Bo zanim wrócisz, to jej cnota całkiem pajęczyną zajdzie...” Modlisz się czy nie modlisz... albo „...Więc Maruśka śpi z chłopem, soltyś rżnie wodę, a ty się mod...” — wydaje się nie tylko szokujące dla katolików, ale wręcz krzywdzące chyba w stosunku do opinii, jaką zdradza Krzyszton na temat charakteru współzycia i układania wzajemnych stosunków w baroku mieszczańskim między robotnikami niewierzącymi a wierzącymi. Robotnicy posiadają właśnie tę

chęć inteligeckiej przesydy? Sądzę, że spaciowanie słów „niecenzuralnych” pod koniec akapitu, nawet, jeżeli mają one sens podkreślenia pewnej cechy charakterystycznej, można sobie darować. Ale kwestia formy, choć niewątpliwie wpływa jakoś na treść, jest zagadnieniem drugorzędym. Ważniejsze natomiast wydaje mi się zagadnienie w pewnym sensie związane z problematyką „Sekretu”, a polegające na metodzie brutalnej walki z tzw. kłiwym, słodkim katolicyzmem. Nie znaczy to oczywiście, abyśmy eliminować uczucie z postawy katolickiej. Ma ono i będzie miało zawsze tę wielką wartość, którą ma w sobie Miłość, dlatego warto zadać sobie trud dokonania różnicowania między prawdziwie głębokim uczuciem a kłiwym, powierzchniowym sentymentalizmem. Nietrwałości irracjonalnego przemiana katolicyzmu płynie stąd, że

niewątpliwie słuszną. Mam natomiast pewne wątpliwości co do pewnych metod jej realizacji. Wydaje mi się, że niewłaściwe są wszelkie „uderzenia pięścią w stół”, metody ironizowania i brutalnego rozprawiania się z przejawami tego rodzaju postaw. Poruszam to zagadnienie dlatego, że pewne tendencje tego typu niewłaściwej, bo niecelowej walki zauważyć można w noweli Krzysztonia. (Czy to w ocenie modlitwy matki Pawła w okresie jego choroby w dzieciństwie, czy w ocenie postawy modlącego się Michała). Przeciwno tej metodzie naprawczej ostro protestuję, ponieważ uważam, że wyrządza ona więcej szkody niż pożytku. „Cóż każdy kocha tak jak może, obywał redaktorze...” I nie tylko kocha, ale jest bardzo przywiązany do swego sposobu kochania, a co za tym idzie niezwykle uwarliwiony na wszelką krytykę w tej dziedzinie. Dlatego nie należy ironizować, ale wskazać, na czym błąd polega — spokojnie i bez pasji. Wszystko to bowiem, co dotyczy ludzkich uczuć, wymaga — moim zdaniem — troskliwej opieki, a nie brutalnych ataków.

Paweł Rosicki istotnie nie miał „szczęścia”. Ale nie tylko dlatego, że nie mógł zdecydować się na „latwy” bilet do Królestwa Niebieskiego. Nie miał on szczęścia również dlatego, że wszyscy ci ludzie wierzący, których spotkał na krótkiej trasie swojego życia, są katolikami z przyzwyczajenia. Matka Pawła, Michał, szpitalna siostra, zecer Stenz (postać księdza jest zarysowana tak nisko, że trudno, coś o nim powiedzieć), czy wreszcie najgorszy przykład w postaci pana Antosia, posługacza szpitalnego, bylego parobka księdza proboszcza, który „organizował” dla biednego „szczurka” spirytus w zamian za kieszonkowy zegarek — wszyscy ci ludzie ubiegają się o bilet do Królestwa Niebieskiego, choćby na galerię... Tam jest bowiem miejsce — w przekonaniu Pawła — dla robotników i drukarzy.

Tragedia Pawła dobiega niemal godziny na godzinę. Kontakt z katolikami, którzy w gruncie rzeczy są zupełnie indyferentni, powiększa jego rozpacz. A on chciałby tak bardzo bać się śmierci „jak należy, po ludzku...” Mali ludzie bez godności utrudniają mu to w znacznej mierze.

Wartość „Sekretu” z katolickiego punktu widzenia polega — moim zdaniem — na tym właśnie, że wskazał w nim Krzyszton na szkodliwe skutki tej postawy, którą określił mianem kłiwego, irracjonalnego przeżycia katolicyzmu. Sposób analizy przeżył Pawła Rosickiego i ich treść została dokonana z punktu widzenia katolika, rozumiejącego w pełni ból i dramat swego bohatera. Nie jest — w moim przekonaniu — nowela Krzysztonia „wodą na młyn propagandy ateistycznej” jak się to czasem u nas mówi. Nie o to bowiem chodzi, że Paweł nie odnalazł swej drogi do Boga. Któż miał ułatwić odnalezienie jej? Nowela jest realistyczna w swej treści. Można jej zarzucić drobne usterki kompozycyjne, jak np. to, że robotnik nie umiałby może tak opisać swych przeżyć, jak zrobił to Paweł. Najważniejsze jest jednak to, że „Sekret” jest wezwaniem, groźnym S.O.S., ażeby katolicy dostregli fatalne skutki społeczne, płynące z powierzchownej, płytkiej, słodko-kłiwiej postawy ludzi, których wiara nie uswieca i nie wzbogaca codziennego dnia i codziennego współzycia z bliźnimi, ale jest etykietką, którą się w razie potrzeby przelepia.

Maria Rusinek  
Warszawa

P. S. Jak widać uwagi moje nie są ostrym atakiem, choć taka była moja intencja natychmiast po przeczytaniu „Sekretu”. Na szczęście przeczytałam nowelę Krzysztonia po raz drugi. Tę „receptę” polecam wszystkim „wzburzonym”.



rys. Marek Rudnicki

słowego nastroiku” dla niego samego. Trochę może (bez obrzydli) dla zwycięcy się przy pomocy pióra samego autora, trochę dla epatowania. Autor w dobrej skądinąd chęci wzbogacenia swej prozy, wzmocnienia jej atrakcyjności, siły oddziaływania zagalował się stanowczo zbyt daleko!

Rozumiem pragnienie nowatorstwa, odwagi twórczej itd., ale jako czytelnik katolicki, odbiorca katolickiego tygodnika, nie mogę być uczucia oburzenia przeczytałem zdania, w którym słowo: Bóg, graniczy o dwa słowa, ze słowem: k...

A teraz druga sprawa, może jeszcze bardziej ważna. Dlaczego bohater opowiadania przez cały czas jest sam, zawsze sam. Wszystko, co widzi, co przeżywa się przed jego oczyma jak gorączkowa panorama — potwierdza w nim jego samotność i rozpaczę. Skąd ten egzystencjalistyczny pesymizm? Gdzie jest Łaska? Gdzie jest Bóg? Wyczuwamy nieco intuicyjnie — pomiędzy wierzącymi — poprzez wewnętrzną walkę Pawła, jego samotność się z samym sobą, z ciężarem swej winy — tęsknotę, na pół świadome pragnienie zdołbycia sekretu, a tym samym

ratunku przed sobą i grozą zewnętrznego. Dlaczego niemal wszystko, co go otacza, posiada wymiar okropności, nonsensu, głupoty, kłamstwa?

Oczywiście, wszystko to może stać się takie w odbiorze jego, człowieka umierającego. Ale to nie jest wystarczające tłumaczenie.

Czytając opowiadanie, wydaje się nam, że nikt nie posiada — wbrew wszelkim nawet pozorom — prawdziwego sekretu. Sekret ukrywa się przed wszystkimi. Pozwala błądzić wszystkim i męczyć się. W opowiadaniu nie widzimy właściwie „pozytywnego bohatera”. Wszyscy są jakoś obciążeni. Całe to zbiorowisko różnych charakterów, różnych ludzi — jest bezradne. Przez monolog i obserwacje narratora widzimy wszystkie postaci jakby w krzywym zwierciadle. Kto reprezentuje prawdę? Kto posiada sekret? Przejawia się nim wierzyć, że posiada go zakatartowany ksiądz; nie wierzymy, że posiada go „mądry” Józek.

Nie wymagamy, aby Łaska konieczne spała na Pawła jak orzeł, porwijąc go wprost do nieba. Ale powinna być w opowiadaniu zaznaczona, powinna być widoczna, obecna.

Paweł ugina się pod ciężarem swej winy, nie może sobie wybaczyć. Czuje się potępiony, choć przecież do końca odrzuca myśl o Bogu. Czy należy się domyślać, że potępienie siebie przez Pawła przyzywa w ostatniej chwili Łaskę; już bez wiedzy umierającego? I bez wiedzy czytelników?

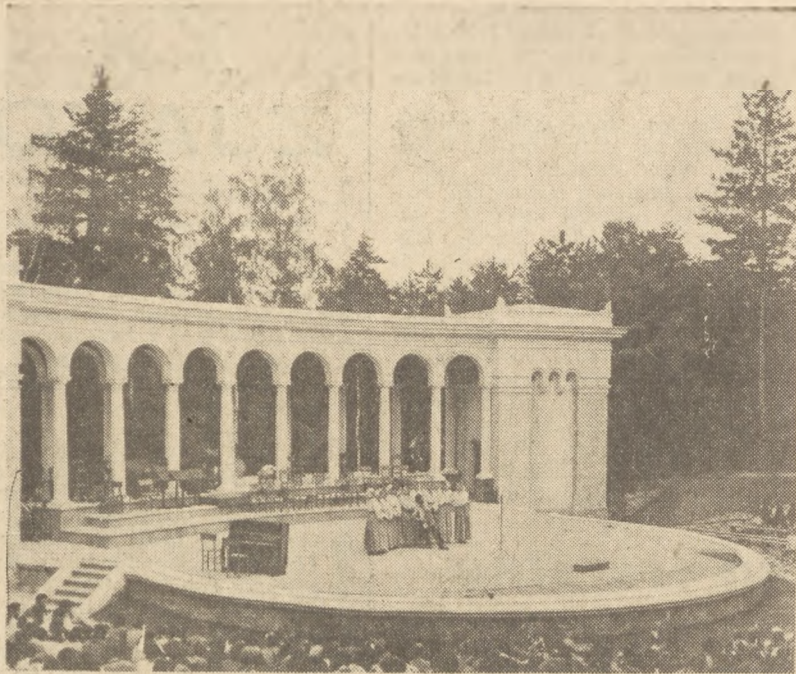
Może ktoś bardzo subtelny domyśli się, o co autorowi chodziło. Ale obawiam się, że nie będzie takich czytelników zbyt wielu. Dla większości „Sekret” pozostanie sekretem. Pozostanie też tylko wrażenie nocy, pośród której szamocą się bezradnie umierający człowiek. Życze autorowi „Sekretu” powodzenia w jego pracy literackiej. Sądzę jednak, że powinien on zastanowić się poważnie nad zcyhającymi na jego drodze twórczej niebezpieczeństwami.

Natomiast redakcja „Dziś i Jutro” powinna uważnie dobrać złożone do jej dyspozycji materiały. Pismo idzie pomiędzy czytelników. Należy się z tym faktem liczyć. Łacząc podziwiania

Roman Derkacz  
Radom



# Impresje bułgarskie



Sofia. Teatr Letni w Parku Wolności



Sofia. Scena z „Damy Pikowej” Czajkowskiego

**Z** JAKIM zapasem wiedzy o tym kraju jechałem jako gość do Bułgarii? Z bardzo niewielkim. Wiedziałem, że Bułgaria leży „gdzieś na Bałkanach”, jest niewielkim krajem, ma piękną plażę w Warnie nad Morzem Czarnym i... że można tam kupić ładne kocyki. Ze spraw muzycznych, interesujących mnie najbardziej, moje wiadomości ograniczały się do twórczości kompozytora Pancho Wladigerowa, niestanowiących wyników pianistycznej ekipy bułgarskiej na V Konkursie Chopinowskim oraz sukcesów śpiewaczy na konkursie wokalnym w ramach ostatniego Festiwalu.

Dwa tygodnie pobytu w obcym kraju, to okres niezwykle krótki. Zajęci stałymi próbami i własnymi koncertami, rzeczą prostą nie mieliśmy dość czasu, aby zobaczyć i usłyszeć wszystko, co nas interesowało, ale i z tego, co widzieliśmy, z przeprowadzonych rozmów i z pilnego studiowania afiszów i prospektów z różnych dziedzin sztuki można so-

bie stworzyć pogląd na całokształt życia kulturalnego Bułgarii.

**B**UŁGARIA jest małym krajem, bardzo pięknie położonym. Ma około 7 milionów ludności. Jej największe miasto a zarazem stolica ma około 700.000 mieszkańców. Sofia była podczas wojny dość zniszczona, jednak rany wojenne zaleczyła szybko. Po zniszczeniach nie ma prawie śladu. Ruch budowlany duży — niestety nowe gmachy aż nadto przypominają nasz MDM. Przypomnę, że jest to dla mnie objaw przerażający. Czy nowe budownictwo nigdzie nie potrafi wyjść poza szablon? Czy naprawdę służąca jest, aby ulice w Warszawie, Berlinie czy Sofii były prawie identycznie zaaranżowane?

Sofia musi być piękną latem. Zieleni bardzo dużo. Nad miastem dominuje zewsząd widoczna góra Witosza. W samym mieście centralnym punktem jest Bulwar Ruski z Uniwersytetem, pomnikiem Aleksandra III Ośwobodziciela (spod tureckiej okupacji) i wspaniałą cerkwią pod wezwaniem Aleksandra New-

skiego. Ulice szerokie, ale ruch, niestety, znikomy. Przypuszczam, że milicjanci co krok nieledwie regulujący ruch, muszą się bardzo nudzić. W ogóle ulice sofijskie są szare. Ludzie ubrani znacznie skromniej i mniej starannie niż u nas. Dlaczego? Nie wiem. Ogólnie bowiem wzięwszy, przy silnie nabywczej lewa (bułgarska moneta) mniej więcej dwa i pół raza większej niż złotówka, nawet przy przeciętnie niższych uposażeniach stopa życia sofijskich mogłaby być wyższa. Widocznie przyczyna tego stanu rzeczy tkwi gdzieś indziej. Może w oszczędności tego znanego z prawości narodu. Tak więc zewnątrz Warszawa, ze swym ruchem, coraz większą elegancją jej mieszkanki, życiem kawiarnianym i nocnym (tak! tak!), przez porównanie z Sofią staje się nieledwie Paryżem, ale jak mówią Francuzi „comparaison n'est pas raison”. Gdy porozmawiałem z Bułgarami o ich życiu kulturalnym, nasz „Paryż” zbladł trochę w moich oczach. A oto garść faktów: Bułgaria ma pięć stałych oper zawodowych (u nas na około 25 milionów mieszkańców — siedem, a i to nie wszystkie, mimo ambicji jej pracowników są stałymi pełnoperaturowymi teatrami), cztery opery amatorskie (u nas ani jednej), czternaście zawodowych orkiestr symfonicznych (u nas 16 — porównania na później), kilka orkiestr szkolnych (a u nas?) i dziesięć orkiestr symfonicznych (bez komentarzy). Jak mnie informowano, jest w Bułgarii około 200 teatrów dramatycznych (za ścisłości tej informacji nie przyjmuję odpowiedzialności, mój rozmówca bowiem sam niezbyt był pewien. Jednak fakt, że w miastach liczących około 20.000 ludności istnieją stałe zawodowe teatry dramatyczne, nie czyni tej liczby zbyt nieprawdopodobną).

Najbardziej chyba uderza warszawiaka w Sofii ilość i różnorodność imprez artystycznych. Pytano mnie po powrocie o frekwencję. O tym krótko. Ludzie na imprezy chodzą. Wszędzie pełno lub prawie pełno. Sam widziałem. Świetna organizacja widowisk, system abonamentów i tym podobne czynniki odegrały w tej sprawie rolę niepoślednią. Myślę, że i my moglibyśmy się od nich czegoś nauczyć i skończyć z niewygodnymi pustymi salami w wielu, wielu (poza symfonicznymi) koncertach, z salą koncertową Pałacu Kultury na czele. A wstydzić się nie ma czego. Dyrektor sofijskiego Biura Koncertowego (tak, jest takie i naprawdę robi to lepiej niż nasze systemy państwowe w państwach) Dymitrow nie wstydził się tego, że muzyczne studia odbył u nas w Polsce, tak jak nie wstydził się niektórzy kapelmistrzowie i śpiewacy oraz ich władze, że z braku dostatecznej ilości doskonałych pedagogów (a jest ich w Bułgarii niemało) młodsi studiują za granicą, na wschodzie i na zachodzie.

Mój miły rozmówca przy czarnej, pysznej bułgarsko-tureckiej kawie skrzypek B. zna tylko bułgarski język i bardzo słabo rosyjski. Ja nie znam wprawdzie bułgarskiego, ani rosyjskiego, ale nie takie trudności pokonywało się w życiu. Dość, że przy obopólnej dobrej woli dogadaliśmy się na tyle, że tłumaczka, przemiła Polka (zamężna za Bułgarem) — pani Muchlewa, musiała tylko raz interweniować i to w sprawie zupełnie nie językowej. Panajod B. był w Polsce. Duzo widział i słyszał. Warszawa bardzo mu się podobała. Ceny w sklepach trochę mniej. Zaś warszawiaki... dość powiedzieć, że serce pozostało w Warszawie i obecnie bardzo pragnie raz jeszcze zawitać do naszej stolicy. Panajod B. zapytany przeze mnie o ocenę naszych zespołów i solistów twierdził, że pokłonił się głową. Bardzo się z tego ucieszyłem. Trochę mnie zdziwił, że dodał do tego kilka niepełnych entuzjastycznych uwag, ale złożyłem to na karb mojej „słabej” znajomości języka. Dopiero pani Muchlewa wyprowadziła mnie z błędów. Z okupacji tureckiej pozostała w Bułgarii ciekawa cecha: nasz ruch głową potakujący u nich oznacza — nie, zaś przeczący — tak. I sprawa się wyjaśniła. B. określił naszych muzyków bardzo trafnie; w skrócie brzmi to następująco: u was (to znaczy w Polsce) jest znacznie więcej talentów niż u nas.

Byłem w Sofii na wielkim koncercie symfonicznym, na przedstawieniach operowych oraz na spektaklu szekspirowskim. Spróbuję możliwie jak najbardziej syntetycznie omówić to, co widziałem.

Otóż teatr mi się nie podobał. Pod tym względem porównanie na naszą korzyść nasuwa się samo przez się. Spektakl „Romeo i Julia” uważam po prostu za zgrzyt i nieporozumienie. Z wyjątkiem aktora grającego Romea, wszyscy wykonawcy byli co najmniej słabi. Reżyserko i inscenizacyjnie cały spektakl wydawał mi się nieporozumieniem. Tym bardziej, że miałem jeszcze w uszach i oczach nasze i to krytykowane spektakle „Lorenzaccio”, „Domu Kobiety” i in. W „Romeo i Julii” wszystko wypadło mi się nieprawdopodobnie. Sofijska publiczność sądząc z reakcji, była ze mną zgodna w opinii. Niestety, innych przedstawień nie widziałem, toteż na podstawie jednego, choćby nieudanego, nie mogę wyciągnąć wiążących opinii o teatrze sofijskim, a tym bardziej bułgarskim.

Byłem natomiast na dwu koncertach symfonicznych i kilku spektaklach operowych. Pierwsze wrażenie, jakie nasuwa się słuchaczowi, szczególnie przy porównaniu z Polską, to bardzo wysoki poziom muzyczny przede wszystkim orkiestr i kapelmistrzów, potem zaś śpiewaków. Słyszałem kilku kapelmistrzów: symfonicznych Ilijewa i Pawłowa, oraz operowych: Najdenowa, Dymitrowa i Lefterowa. Nie wdając się w szczegółową ocenę stwierdzić należy w każdym razie ich znakomite rzemiosło i niewątpliwie wartości artystyczne. Bułgarzy

twierdzą, że poza Sofią jest również wielu bardzo utalentowanych i już doświadczonych kapelmistrzów. Nie wiem. Może się chwala. Choć przypuszczam, że to raczej mnie ciągle jeszcze trudno ten stan rzeczy zrozumieć. Mówiąc o dyrygentach krok już tylko do orkiestr.

Są one — można to stwierdzić natchnionym po ich usłyszeniu — bardzo zgrane. Widoczna jest ogromna dyscyplina zespołowa i świetne przygotowanie poszczególnych sekcji. Co za wspaniałe wejście blachy czy drzewa. Jaka swoboda w operowaniu dynamiką! Naprawdę z pełną satysfakcją słuchałem orkiestry sofijskiej opery i filharmonii. Precyzja tych zespołów — niezawodna. A jakie piano! Szczególnie w operze, gdzie założeniem podstawowym jest owo słowne „mezza voce” orkiestry wychodzącej na pierwszy plan ze swymi forte tylko wtedy, gdy jest to zgodne z założeniem kompozytora i dyrygenta. Od szeregu lat, poza radiem i płytami, nie słyszałem „na żywo” innych europejskich orkiestr. Nie wątpię, że są świetne, ale przypuszczam, że orkiestrami sofijskimi byłoby usatysfakcjonowani nawet wybredni kapelmistrzowie. Zastanawiałem się, dlaczego nasze orkiestry (z wyjątkiem może 2-3), w których nie brak przecież doświadczonych i zdolnych muzyków, w porównaniu wybitnie traca.

W każdym mieście poza młodymi dyrygentami na czele orkiestr stoją doświadczeni kapelmistrzowie. A i młodzi do pulpitów stanęli po gruntownym przygotowaniu nie tylko teoretycznym, ale i praktycznym. A u nas? Jakże często niestety młody dyrygent z orkiestrą styka się po raz pierwszy przy publicznym egzaminie dyplomowym. Z tym „ładunkiem” doświadczenia idzie w teren, gdzie obejmuje w samodzielne władanie słabą orkiestrę. I zaczyna się polka. Niedoświadczony kapelmistrz nie potrafi podciągnąć swego zespołu, a naodwrot nie potrafi sam. Czy w chwili obecnej jest wyjście z tego impasu? Trudno na to odpowiedzieć. Likwidacja orkiestr w chwili, gdy wyrobiły sobie prawo obywatelstwa i sięgnęły do sal rzeczywistości tysięcy nowych słuchaczy, byłoby absurdem. A więc co pozostaje? Szkolenie. Opowiadał mi w Russe (miasto 90.000 z operą i filharmonią), że na poziomie ich zespołu wpływa poważnie styl pracy oraz system plac. Kwalifikacje sprawdzane — są co roku. Poziom egzaminów jest niemały, jeśli wziąć pod uwagę, że w ubiegłym roku utworem obowiązkowym dla skrzypek było „Motto Perpetuo” Paganiniego. I tak każdy artysta-orkiestrowiec może z roku na rok uzyskiwać wyższą klasyfikację i wyższe o kilkadziesiąt lewów (dużo pieniędzy) uposażenie.

Nie jest to jedyna metoda, są i inne. Wymienić ich tu nie będę, nie proponuję bowiem ich zastosowania w naszych warunkach. Ale czy i u nas nie dałoby się pewnych rzeczy wprowadzić? Zainteresować finansowo ludzi w ich własnej placówce (a ograniczyć „hakurnicwo”, stosowane, nie bójmy się tego stwierdzić, z konieczności), szkolić ich sumiennie i stale, dać im czas, ale i zobowiązać ich do pracy domowej, a każdą orkiestrę poddać pod opiekę jednego ze znanych nam naszych fachowców dyrygentów?

**Z**BLIŻAJĄC się do końca pragnę omówić jeszcze trzy, moim zdaniem, istotne rzeczy. Pierwszą jest całkowite prawie w Bułgarii nieznanostwo polskiej muzyki. Poza Chopinem, nie licząc już tylko wędzą o „Halce”, natomiast Karłowicz, Różycki, Baciewiczówna i Szymanowski są znani zaledwie garście fachowców i to przeważnie tylko z nazwiska. Temu przede wszystkim przypisuję fakt, że jedyną nazwisko, które w recenzji z naszego koncertu zostało mocno skrytykowane to... Szymanowski.

Gdyby muzyka nasza była w Bułgarii znana, gdyby i Szymanowskiego wprowadzono częściej na afisz koncertów i gdyby nasi artyści więcej polskich kompozytorzy za granicą grywali — zdanie recenzenta i innych byłoby na pewno zupełnie inne. Dowodem „Nokturn” i „Taran-tella”, która skrzypek bułgarskich po kilkukrotnym przesłuchaniu utworu po prostu zachwyca.

Drugim ważnym faktem jest sprawa solistów z polską orkiestrą. Biuro Koncertowe podpisało z nimi umowy. Są na etatach i mają obowiązek wykonania 16 koncertów rocznie. Dzięki temu pracują w swoim właściwym zawodzie, są w stałej dyspozycji, toteż i w formie, i nie czekają na koncerty od przypadku do przypadku, jak nasi koledzy, którzy liczyć mogą tylko na dość bezplanowe osobiste kontakty z filharmoniami. Na koniec jeszcze jedna latka.

Na Ruskim Bulwarze w małym narożnym jak gdyby - sklepieniu znajduje się czytelnia polska — inaczej: nasz ośrodek propagandowy. Na jednej wystawie elementy mikiewiczowskie, na drugiej wielki plakat z wizerunkiem... górnika. W ciemnym i ciasnym wnętrzu stare gazety i dość dużo polskich książek. To wszystko. Niedaleko jest ośrodek Czechów. Ogromne pomieszczenie, wspaniałe witryny, sklep pełen płyt i wydawnictw muzycznych kompozytorów, nie tylko czeskich, oraz książek z różnych dziedzin. Ośrodek wzorowy. Hej! Iza się kręci!

**P**RZYPADKĘ pierwszy: Lekarz rejonowy zostaje wezwany do pacjenta, mieszkającego na końcu świata. Idzie się ul. Miedzyszyńska, ale wejście jest od Wersalskiej, jakieś kombinacje między Genewską, Traktatową a Bajonką (jest taka uliczka, a jakże) od tej strony nie ma wejścia, od tej — nieparzyste numery, napisy zatarte, ulice wymiaru, tu plot, tam zły pies, a dokoła noc i 25 stopni mrozu. Po drugim pytaniu, pukaniu, wracaniu i kobowaniu lekarz odnajduje pacjenta, 30-letniego młodzieńca siedzącego w ubranii i wyglądającego znakomicie. — Strasznie rutie mnie zęb. — I dlatego mnie pan używał? — A czy ból zęba nie jest chorobą? — Owszem, ale ja nie jestem dentystą. — To niech pan doktor przepisze coś na ból. — Lekarz przepisuje Pabialginę, którą można kupić w każdym kiosku za jedne dwa złote i chce iść na poszukiwanie następnego pacjenta. Młodzieńiec go zatrzymuje: — Panie doktorze a zwolnienie? Ja od dwóch dni nie byłem w pracy.

Przypadek drugi: Lekarz rejonowy przyszedł, zbadał, przepisał na głowę, na nerwy, na jelita, na kiszki, na wzmożenie, na wszelki wypadek. Spędził u łóżka chorego 25 minut, wypisał receptę za 100 złotych, uważa sprawę za zatartą, chce odejść. — Panie doktorze, skoro pan już tu jest, może by pan zbadał przy okazji babcię. — A babcia korzysta z Ubezpieczalni? — Korzysta.

Lekarz bada babcię, przepisuje receptę. — I Fosfit, panie doktorze. — Masz pani Fosfit, dowiedzenia. — Panie doktorze, może pan jeszcze obejrzy Piotrusia, Piotruś, pokaz panu doktorowi te krosty. — Proszę pani, ja się spieszę, mam jeszcze 6 wizyt domowych. — A nie lepiej zbadać od razu, niż znowu fatygować się jutro? — Ale ja jutro nie przyjdę, to jest sprawa dla przychodni. — No niechże pan doktor będzie ludzki.

Lekarz jest ludzki, bada Piotrusia, przepisuje receptę. — Panie doktorze, bo tu jeszcze gosposia coś się zrobiło za uchem, gosposia jest ubezpieczona...

Przypadek trzeci: Lekarz idzie do pacjenta, uzgodnił pacjent idzie do lekarza, pacjent prosi o skiero-

wanie na badanie krwi z palca i żyły, Rtg, oka i ucha, analizę, płuociny na laseczniki Kocha i kału na tasiemca. Dostaje wszystko, czego chciał. Po trzech miesiącach zgłasza się i prosi o identyczne skierowanie. — Przecież panu dałem. — Tak, ale przedawione. — To znaczy, że pan przed trzema miesiącami nie poszedł? — Nie mogłem, było wesele córki. — Ale wesele nie trwało trzech miesięcy? — Potem mieliśmy zamknięcie roku budżetowego. — Rozumiem, a potem przyjechali Murzyni. Ale jeżeli pan nie dokonał tych badań, a żyje, to może badania były zbyt ciężkie? — Może, ale żona by chcia-

JERZY STADNICKI

## BISURMANSKA MENTALNOŚĆ

ła, żebym się raz w życiu przebadał gruntownie.

Przypadek czwarty i następcy: Pacjent żąda penicyliny i antybiotyków, bo w żadną inną nie wierzy. Pacjent żąda skierowania ale tylko do Kudowy, bo tam pracuje doktor — kolega z wojska. Pacjent żąda, żeby skreślić z recepty Konwalię a ustawić Adomis. Pacjent żąda takiej metody leczenia, wyprowadzenia, stawia diagnozę, przepisuje terapię. Pacjent żąda, wymaga, wyciągnie konsekwencje, podda do Trybunu, napisze do Fałi. A doktor niechże pamięta, że żyjemy w dobie medycyny społecznej, że ma obowiązek skierować, że nie wolno mu się targować, że jest opłacany przez Państwo razem z lekarstwem, prześwietleniem, analizą, Kudową.

Pacjent żąda. Szuszenie. Ma prawo Dzięki Bogu możemy nie tylko żądać, ale i oczekiwać spełnienia naszych szustnych żądań. Nie ma nic gorszego w samym fakcie żądania. Zapewne, byłoby lepiej, gdyby pacjenci mówili „proszę” nawet wtedy, kiedy żądają. Zapewne, byłoby przyjemniej, gdyby nasze życie było bardziej przesiąknięte

grzeźnością. Ale, koniec końców, wolno żądać. Nie o to na razie chodzi. Chodzi o to, że ludziskom niekiedy przewraca się w głowie. Ze się trochę rozbismurmanili. Chodzi o bisurmaniską mentalność.

**B**EZPŁATNE lecznictwo jest nieocenioną wartością, o której walczyli kilka pokoleń, do której wzdycha daremnie 5/6 ludzkości. My żyjemy w tej jednej szóstej, która nie wzdycha, bo wywalczyła. Dostajemy za darmo lekarza, badania dodatkowe, wczesny leczniczy. Ale jeśli w restauracji dostajemy bezpłatnie chleb, to nie znaczy, że można codziennie zabrać

To nie argument, że lepiej poprosić lekarza o poradę „przy sposobności”, niż kazać mu się trudzić po raz drugi. Bo lekarz jest obowiązany przyjść tylko do pacjenta obłożonego chorego. Wszelkie bóle zęba, krosty, zgagi, strzykania i tym podobne mogą i mają być zatlutowane w trybie ambulatoryjnym. Nie stać jeszcze nas na to, by posyłać lekarza do każdego jęczmienia na oku. A gdyby nas było stać, to byłoby też nie posyłać, bo to by było demoralizujące. Pamiętajmy wszędzie, że lekarz prosty „tylko o zarznięcie do gardła” albo „tylko o poutęrozenie recepty” — jest w kłopotliwej sytuacji. Istotnie,

I nieprawdopodobnie więcej marnotrawców. Wszyscy jesteśmy winni. Chciałbym mieć tyle pieniędzy, za ile pokłaniam lekarstw — ot, tak sobie, na wszelki wypadek. A przecież nie jestem hipochondrykiem ani narkomanem. Tylko facetem, który przez wiele lat mógł otrzymać każde lekarstwo i każdy zabieg, na jaki miał kaprys, który mógł w każdej chwili powiedzieć: „Napisz-no mi Włodek (Cesiek, Julek) receptę”. Albo nawet wypisać sobie samemu. Ale przysięgam, że może winny — choć znaczny — są jeszcze matulki. Przydałoby się wywieścić w każdej aptece wykaz leków zamówionych a nie odebranych. Przydałoby się zrobić w domkach rewizję za lekarstwami odebranymi ale nie używanymi. Przydałoby się obliczyć roboczo-godzinny pracowników służby zdrowia, zmarnowane na różne analizy, prześwietlenia i fizykoterapie na nie nikomu niepotrzebne. Przecież ludzie domagają się prześwietlenia przy każdym zapaleniu nerwów międzybrownych. A ci, którzy mają gruźlicę czekają miesiąc w kolejce. Ech, szkoda gadać... Nie, nie szkoda. Bo ci, którzy prześwietlają się bez powodu, są winni chorobie lub śmierci tamtych.

Statystyki kłamią? A może z lecznictwem jest podobnie jak z mięsem: czytamy, że trudności pochodzą stąd, że stopa życiowa podnosi się i konsumpcja wzrasta. Bardzo niesłusznie uśmiechamy się z tego twierdzenia. Nie znam się na mięsie, więc nie mam dowodów na wzrost konsumpcji mięsnej. Ale znam się na lecznictwie i dlatego sądzę, że między oboma zjawiskami zachodzi analogia. Jest więcej lekarzy niż przed wojną, więcej pielęgniarek, aptek, lekarstw i wczasów ale jest nieproporcjonalnie więcej korzystających.

Wszystcy narzekamy na ogonki w aptekach, przychodniach i gabinetach zabiegowych, na niecierpliwość personelu lekarskiego, na wieczne braki tego lub owego lekarstwa. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że winę ponosi ogólny niedostatek: niedostatek lekarzy, niedostatek pielęgniarek, przychodni, aptek, środków leczniczych, że tego wszystkiego jest za mało. Statystyki jednak mówią, że jest znacznie więcej, niż przed wojną. Więc jak?

Trudno odmówić takiego drobiazgu. Ale drobiazgi te sumują się na 1-2 godzin dziennie pracy nadprogramowej, niezaplaconej.

Nie należy sobie też wyobrażać, że receptariusz Ubezpieczalni jest rogiem obfitości, z którego leki mogą wypadać w nieskończoność. Lekarz jest odpowiedzialny przed swymi władzami za ilość i treść wydanych recept.

Wydałność naszego przemysłu farmaceutycznego jest stosunkowo niewielka. Niektóre leki są reglamentowane. Lekarz nie może więc przepisywać lekarstw, jak kaszy. To samo odnosi się do skierowań do sanatorium, laboratorium wzgl. rentgena.

Przydałoby się wywieścić w każdej aptece wykaz leków zamówionych a nie odebranych? Nie. Raczej wykaz zamawianych, z podaniem adresu. Żebyśmy się, cholera, dowiedzieli, przez kogo stoimy w ogonkach. Potem, kiedy by zaczęli narzekać (a narzekają na pewno) na ogonki, braki, złą obsługę i stracony czas — można by ich przynajmniej zwinąć. Ich właśnie należałoby opisać w

Trybunie, ich podać do Fałi. PKF podjęła ostatnio chwalebna inicjatywę filmując chuliganów i pijańców. Jeden błąd: nie podano nazwisk, adresów, ani zakładów pracy.

Jestem za jak najbardziej drakońskimi metodami w stosunku do ludzi aspołecznych. Brakorbństwo, bumelantstwo, marnotrawstwo są dlatego tak groźne, że nieuchwytnie. But, który się rozleci za miesiąc, niczym się nie różni na wygląd od buta dobrego. Urzędnik czytający i śpiący wyglądają prawie tak samo. Lekarzowi nie łatwo odmówić recepty na lekarstwo mało potrzebne lub niepotrzebne, potrzeba jest rzeczą względną.

A jednak właśnie lekarz może tu wiele poradzić. Gdyby miał odwagę napisać na karcie choroby: „Dnia takiego a takiego wezwano wizytę bezpodstawnie”, gdyby podobną adnotację wpisał drugi lekarz i trzeci, gdyby za czwartym razem krnąbrny pacjent stracił prawo do bezpłatnego lecznictwa — czyby to nie poskutkowało? Jest na karcie choroby rubryka „uwagi”, dlaczego się z niej nie korzysta? Dlaczego pogotowie prawie nigdy nie pociąga do odpowiedzialności tych, którzy je używają bez uzasadnienia; dlaczego nie sygnalizuje się grywny za wezwanie wizyty domowej do ambulatoryjnego przychodni; dlaczego nie filmuje się niesumiennej kuracjuszy; dlaczego nie publikuje się nazwisk pacjentów, niezgłaszających się po lekarstwa (zamiast że po prostu wyłączać do kuba); dlaczego nie tępi się sabotaż w lecznictwie?

Był etap, na którym należało przede wszystkim zbudować medycynę społeczną. Zbudowano. Czas teraz pomyśleć o obniżce kosztów własnych, bez których nie wydadymy. Cóż z tego, że będzie przybywać doktorów i aptek, kiedy będzie jednocześnie przybywać nieuzasadnionych wezwań i lekarstw w zlewie? Likwidacja marnotrawstwa, choćby drakońskimi środkami jest sprawą życia i śmierci medycyny społecznej. I w ogóle wszystkiego, co społeczeństwo.

PS. Zaczęliśmy od tego, że lekarstwa były bezpłatne. Obecnie ubezpieczeni płacą za nie 30 procent. Czy nie byłoby słuszne wprowadzić niewielką opłatę za wizytę lekarską? Propozycja do dyskusji